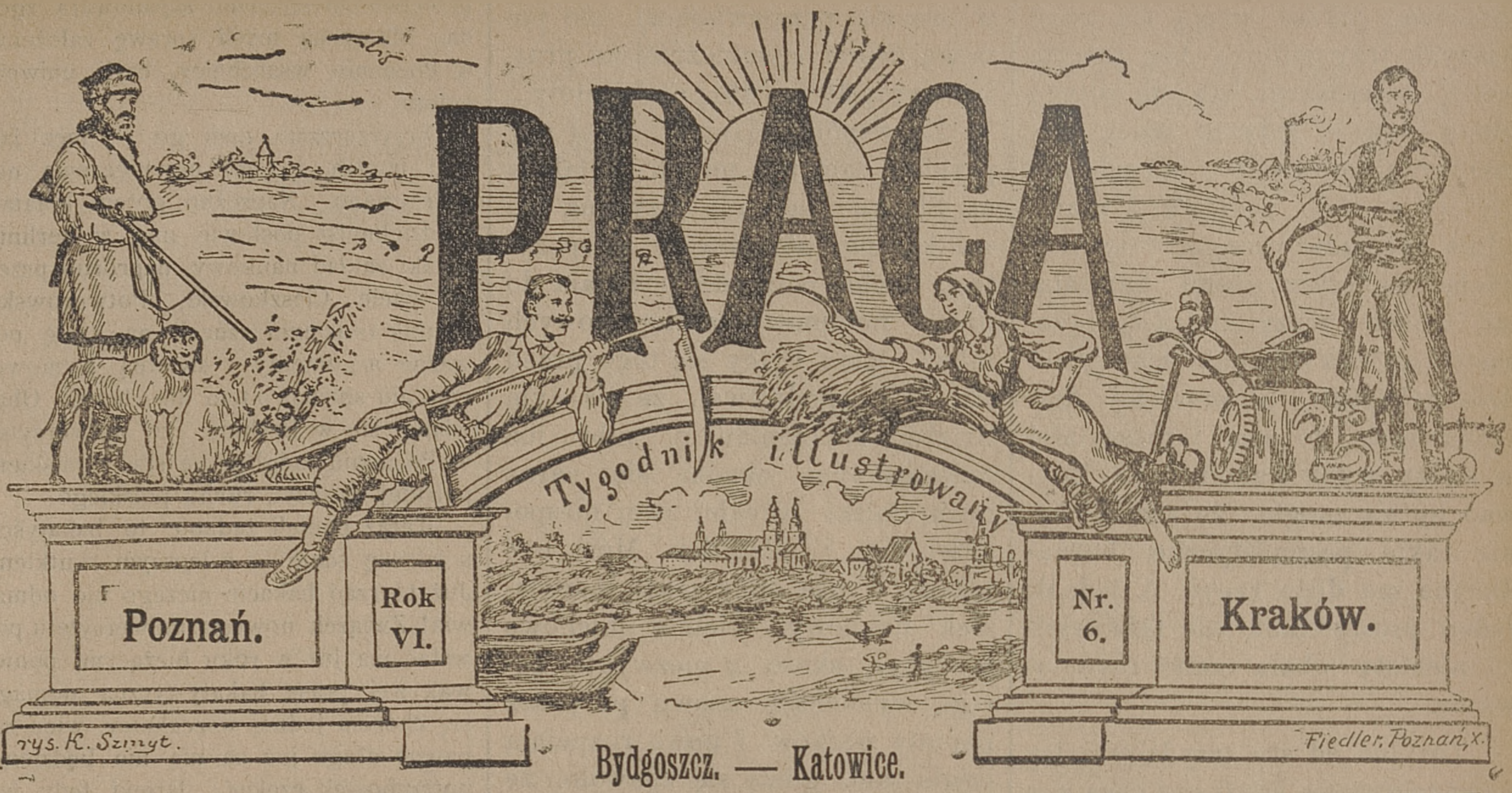
Niedziela, dnia 9-go Lutego 1902 roku.




Redakcya i Administracya: Poznań, ulica Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1246.



# Kto zwycięży?

Wypowiedziano nam więc walkę, wyraźniej i dobitniej, niż kiedykolwiek, powiedziano przytem bez żadnych obsłonek, a jasno i otwarcie, że ostatecznym celem tej walki i całej dzisiejszej polityki pruskiej wobec nas jest zgermanizowanie, wytępienie nas Polaków w naszych ziemiach polskich dziś do Prus należących.

Wynika ztąd, że podpisano na nas wyrok śmierci i że wszelkich użyje się środków, aby wyrok ten wykonać i o ile możności przyśpieszyć.

Że takiemi są w istocie zamiary hakaty wobec nas, o tem wiedzieliśmy już z dawna; ba, matki nad kołyską już nam o tem śpiewały, hartując nas zarazem na życie, bój i mękę. To też ministrowie pruscy ogłaszający teraz nowe przeciwko nam krucyaty, nie powiedzieli nam nic nowego, powiedzieli nam jedynie to, cośmy już z dawien dawna wiedzieli: dlatego więc te ostatnie obrady sejmowe, w których tyle rzucono na nas pocisków, nie zrobiły u nas w kraju zbyt wielkiego wrażenia, nie wywołały popłochu, przeciwnie, zostaliśmy po nich dziwnie jacyś spokojni i niemal obojętni.

O ile spokój ten wypływa z poczucia sił własnych, z istotnej pewności siebie, — o tyle jest on rękojmią zwycięztwa naszego i niechże będzie błogosławionym!

Ale, gdyby spokój ten był wynikiem istotnego zobojętnienia, zmęczenia, lub zgoła nieufności i wiary w zwycięztwo — w takim razie precz z tym ospałym spokojem, precz ze zgnuśnieniem, precz z niewiarą! W nich dopiero rzeczywisty upadku naszego początek, w nich głębokie dla nas niebezpieczeństwo, groźniejsze niż we wszystkich środkach systemu pruskiego i hakatyzmu.

Lecz zdaje nam się, że w tej chwili dobrze patrzymy i trafnie czytamy w sercach naszego społeczeństwa, i że oto takich ludzi małego serca i małej wiary nie wielu wśród nas. Są wprawdzie i między nami, jak w każdem innem społeczeństwie, ludzie co ulegają chwilowym wrażeniom grozy i niebezpieczeństwa — ogół nasz jednak ma duże poczucie sił własnych, a z tem poczuciem i wiarę w przyszłość i w zwycięztwo. I słusznie, nie potrzeba być zgoła jakimś chorobliwym optymistą i patrzeć na wszystko przez różowe szkiełka, a wystarczy jedynie zrobić choć pobieżny przegląd naszych sił, obliczyć nasze szanse we walce, abyśmy mogli sobie odpowiedzieć na pytanie: „Kto zwycięży?"

Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że pozycya nasza stracona; jakżeż mogą się ostać naszych trzy miliony bez rzeczywistej organizacyi, bez jednolitego planu obrony, jedynie mocą elementarnej swej siły i odruchowej obrony w obec państwa i rządu silnie zorganizowanego, rozporządzającego olbrzymiemi kapitałami, wobec rzeszy ludzkiej przerastającej nas liczebnie więcej, niż dziesięćkrotnie, a przejętej dziś nienawiścią do nas i rozszalałej w żądzy wyniszczenia nas? Zdawać by się mogło, że rozumowanie takie pesymistyczne, beznadziejne ma dużo racyi. A jednak jeden prosty fakt, ale fakt wielki, niezbity obala tamto rozumowanie.

Toż już od stu trzydziestu lat najróżniejszemi środkami chcą nas wytępić, wyniszczyć — i jakiż tych zabiegów skutek? **Chcieli nas połknąć jeden milion, a teraz im trzy miliony w gardle stoją**; pomnożyliśmy się mimo wszystko, mimo gwałtownych wydalań, mimo gromadnego wychodźtwa w trójnasób. Prawda, że z tych świeżo nam przybyłych dwóch milionów jeden przypada na Ślązk, a więc na dzielnicę, leżącą po za obrębem krajów zagarniętych z czasu rozbiorów Polski, ale w tem właśnie jest nowy wielki dowód siły naszej i niespożytości.

Ten milion Polaków, o któryśmy się od czasu rozbiorów Polski pomnożyli w Poznańskiem i w Prusiech Zachodnich, jest owocem siły fizycznej, naszej krzepy czyli „woli bożej“, jak to lud zwykł mówić. Chwalić istotnie Boga, że ta Jego „wola“ taka w nas silna, i krzepka, i płodna. Chociaż z pewnem niedowierzaniem przyjąć nam trzeba urzędowe liczby statystyki pruskiej, wedle której na owych 7 procent, o które się ludność Poznańskiego pomnaża, my Polacy dajemy $10^1/_2$ procent, a Niemcy tylko $3^1/_2$, to jednak niewątpliwie pod względem płodności fizycznej znacznie przeciwników naszych przewyższamy.

Przeciwko tej naszej sile, tej „woli bożej“, tak elementarnie w nas się przejawiającej, nie pomogą żadne najsztuczniejsze pruskie wymysły ni całe potoki złota....

Za współdziałaniem innej siły przybył nam ten milion Polaków na Ślązku; tam nie fizyczna nasza krzepa, ale potęga niespożytego ducha polskości powołała do pracy milionowy zastęp nowych ludzi. Któż byłby się tego przed stu laty spodziewał, że na tym Ślązku zapomnianym, niby już zniemczonym, obudzi się naraz duch Polski w całej swej niespożytej sile i młodości. Musi być jednak w nas duży jakiś pierwiastek duchowy, wielkie duchowe tradycye, skoro z niezwykłą potęgą wybuchają znowu po przez popioły wieków i nowe rozpalają ognie tam, gdzie się zdawało, że wszystko już z dawna zagasło.

Te dwa czynniki: *fizyczna* nasza płodność i niespożytość polskiego *ducha* to dwie żywiołowe moce, których nie tylko najsztuczniejsze wymysły i najdziksze wybryki rozszalałej hakaty, ale i piekieł bramy nie przemogą.

W te dwie potęgi posażni i zbrojni możemy spokojnie stać i pewno; to trochę niemieckiego napływu, sztucznie do nas pompowanego, podstaw bytu naszego nie podmyje, ani nie podkopie. Jesteśmy z wiek wieków *narodem*, o którego twarde kości napróżno będzie sobie wykruszać swe ząbki nowoczesny *sztuczny produkt*.

Niech tylko każdy z nas czuje się żywą narodu swego cząstką, niech w tej walce każdy z nas bierze żywy udział, a możemy być pewni, że jakeśmy dotąd nie zginęli, tak i nie zginiemy w przyszłości, i że przy nas będzie zwycięztwo.

*Vester.*

## Raz przynajmniej... zgoda!

Zakrawa to na paradoks — a jednak jest prawdziwe: raz przynajmniej opinia w społeczeństwie polskiem przyklasnąć może pomysłowi i żądaniu hakaty, raz przynajmniej między temi tak przeciwnemi stronami zapanowała zgoda. Mamy na myśli sprawę założenia w Poznaniu wszechnicy, czyli uniwersytetu.

Przyrzeczono nam go — lecz jak tylu innych, i tego przyrzeczenia nie dotrzymano. Napróżno potem kołatali najdzielniejsi posłowie nasi w Berlinie o taki zakład naukowy, napróżno przez lat wiele Cieszkowski, Potworowski, Kantak oraz inni rzucali na szalę poważne argumenty i świetną wymowę, rząd ani słuchać o tem nie chciał. Obawiano się w Berlinie, że uniwersytet w Poznaniu mógłby się stać ogniskiem polskiej agitacyi, ruchu polskiego.

Teraz podjęli żądanie to hakatyści, a jak się zdaje — z lepszym skutkiem. Już to rząd hakacie niczego nie odmawia! Związek nowego uniwersytetu powstać ma już w roku bieżącym, ponieważ zaś prasa hakatystyczna domaga się chórem jednej wszechnicy, więc zapewne długo już na nią nie będziemy potrzebowali czekać. Dzięki tedy hakacie spełnią się gorące życzenia kilku pokoleń ludności polskiej. Walka narodowościowa dziwnie się nieraz układa...

Hakata — co prawda — innymi przytem powoduje się motywami, niż ludność polska. Nam chodziło wyłącznie o naukę, o to, aby młodzież nasza nie potrzebowała szukać jej daleko, aby miała ułatwiony przystęp do niej; hakatystom chodzi o to głównie, aby wzmocnić niemczyznę w polskiej dzielnicy, aby wycisnąć na niej piętno niemieckie i stworzyć tu nowe silne ognisko niemieckie, niemieckiego ducha, niemieckich obyczajów. Mimo to — ponieważ przedmiot żądania pozostał ten sam, my te zabiegi hakaty tylko popierać możemy.

Ileż to młodzieży polskiej, nie mając środków na studya w dalekich miastach uniwersyteckich — nie mogło wogóle obierać zawodów naukowych. Ileż to ciężko zapracowanego grosza polskiego wywozili akademicy nasi do miast niemieckich, z ileż to trudnościami tam na obczyźnie walczyć musieli! A chociaż młodzież trzymała się dzielnie, to jednak nie obywało się przytem bez ciężkich strat także dla ducha polskiego. Ten i ów z pośród młodzieży przywoził do kraju wcale nie pożądane nałogi i zwyczaje niemieckie i zaraził nimi później wielu w kraju, z którymi bliżej się stykał. Nie brakło także takich, którzy tam na obcym gruncie i w obcem otoczeniu — marnieli i ginęli zupełnie dla kraju, dla swego społeczeństwa. Strat takich nie będzie, a przynajmniej będzie ich mniej,

gdy młodzież nasza w Poznaniu kształcić się będzie mogła. Przynajmniej zaś tysiące i krocie polskich pieniędzy pozostaną u nas, w polskich kieszeniach, a to dużo znaczy w dzisiejszem położeniu naszem.

Z wszystkich tych przyczyn — po raz pierwszy — wdzięczni możemy być hakacie za jej zabiegi...

I ta atoli sprawa nie jest bez „ale“. Tem „ale“ — jest w tym wypadku to, że otrzymamy zapewne uniwersytet nietylko niemiecki — ale także hakatystyczny, to jest, że nadaną mu zostanie tendencya szowinistyczna. Mniejsza jednakże o to! Tendencya ta może się panoszyć jedynie w wydziale filozoficznym i filologicznym, mianowicie w historyi, etnografii itp. Katedry w wydziale tym powierzone zostaną zapewne wyłącznie profesorom, wykładającym przedmioty odnośne z czysto *pruskiego* stanowiska. Czyż atoli i na innych pruskich uniwersytetach tendencyi tej niema? Jest dzisiaj chyba już wszędzie. Któż zresztą u nas poświęca się jeszcze filozofii, gdy wszelkie posady nauczycielskie są dla nas zamknięte? A i wiedzę historyczną i wszelkie jej pokrewne młodzież nasza czerpać dziś musi z innych źródeł, specyalnie pruskie są bowiem zbyt „mętne“ — zbyt jednostronne. *Medycyny, chemii, prawa* itd. zhakatyzować nie będzie można. A o te wydziały chodzi nam przedewszystkiem. Nie ulega wątpliwości, że i katedry tych wydziałów powierzone zostaną docentom, którzy uważać się będą za apostołów niemczyzny, a zatem obok nauki uprawiać będą także dążności germanizatorskie. Nie ulega wątpliwości, że i w tym uniwersytecie na *polskiej* ziemi młodzież polska będzie zniewoloną znosić rozmaite przykrości, obrazy, docinki. Do tych jednakże przywykła już i na innych uniwersytetach, i tam je znosić musi codziennie niemal, jak to wykazał proces przeciwko akademikom. Łatwiej je zaś znieść w polskiem otoczeniu, wśród swoich, łatwiej je tu przeboleć, niż gdzieindziej, bo w polskich sercach bratnich znajduje na te przykrości pociechę. Nie obawiamy się tedy niczego po tym uniwersytecie, a dużo zyskać możemy.

Ale uniwersytet ten — powie może ten lub ów — ściągnie do grodu naszego setki butnej młodzieży niemieckiej, która tutaj zapragnie doboszować, rej wodzić i szukać będzie zwady z ludnością polską, prowokować ją pod niejednym względem. Zapewne — że tak będzie. Aleśmy przecie już zbyt dojrzeli, zbyt ciężko przeszli szkołę, iżbyśmy i tego przetrwać nie mieli. Na za nadto wielką dokuczliwość znajduje się chyba rada — mniejsze zaś wybryki zbywać będziemy pogardą i politowaniem...

Jedno tylko mogłoby pokrzyżować nasze nadzieje, a mianowicie to: a nuż system pruski od uczęszczania na ten uniwersytet młodzież polską zupełnie *wykluczy?* Niemożliwem to nie jest, lecz byłby to krok taki że jeszcze się go po systemie pruskim nie spodziewamy. Wystawiłby on „kulturze“ i polityce niemieckiej gorsze jeszcze świadectwo, niż wystawiła je *Września*, podał by on system pruski u wszystkich narodów w bezwzględną pogardę, a tego Prusacy zaryzykować nie zechcą. Wystarczy im zapewne, że uniwersytet ten będzie ogniskiem niemczyzny u nas.

Niechże niem będzie. Polskiego charakteru dzielnic naszych zatrzeć nie zdoła — a wyjątkowo — i nam przyniesie korzyści.

*Ordon.*

## *Wewnętrzne odrodzenie.*

Najtrudniejszą podobno rzeczą jest — poznanie samego siebie, rozpoznanie własnych wad i błędów — a w ślad za tem szczere dążenia do pozbycia się tychże, do naprawy własnego charakteru. Jest to jakoby zwycięztwo nad sobą samym, nad złymi instynktami własnej natury. Kto takie zwycięstwo odniesie, nie potrzebuje obawiać się przeciwności życiowych, bo i tym zawsze ze skutkiem stawić zdoła czoło. A zwycięstwo takie bywa tem zaszczytniejszem, tem chwalebniejszem i obfitszem w dobre skutki — im głębiej odnośna jednostka poprzednio pogrążona była w błędach, czy to własnych, czy też odziedziczonych po przodkach.

Tak samo ma się rzecz z narodami, ze społeczeństwami narodowemi — tylko, że tu rozpoznanie własnych przywar bywa jeszcze trudniejszem — już ze względu na wielką rozmaitość charakterów stanowiących takie zbiorowisko indywiduów. A jednak i tu jest wręcz koniecznem, jeźli naród pragnie ostać się w wirze walki o byt, jeźli pragnie zdobyć sobie prawo do życia. Wiadoma rzecz, że nic tak nie psuje charakteru zarówno jednostek jak i społeczeństw — jak dłuższe powodzenie i dobrobyt; w takich warunkach mięknie siła woli, słabnie i spacza się charakter i powoli złe strony jego biorą górę nad dobremi. Takie fazy przechodziły niemal wszystkie narody na świecie.

Każdy z nich osiągnąwszy szczyt znaczenia i potęgi — popadał w rozstrój wewnętrzny, a ten strącał go zwykle z zdobytego z trudem i mozołem stanowiska. Jeźli zaś późniejsze pokolenia nie zdobyły się znów na rozpoznanie swych błędów, błędów odziedziczonych po przodkach i na wewnętrzną poprawę, wewnętrzne odrodzenie, jeźli w błędach tych grzęzły dalej — marniały zupełnie, upadały i stawały się pastwą innych, silniejszych, zdrowszych charakterem społeczeństw. Takich przykładów dużo przekazały nam dzieje. Tak się stało z Grekami, Rzymianami, tak dzieje się i dziś jeszcze z niektórymi narodami romańskimi.

I nam Polakom przyniosły świetne nasze dzieje XIV i XV wieku w następstwie upadek wewnętrzny, ten zaś oddał nas na pastwę mocniejszym sąsiadom. Ci liczyli widocznie na to, że się już z upadku tego nie podniesiemy, że marnieć będziemy dalej, że przeto łatwą będą mieli z nami sprawę. — Bóg jednakże zrządził inaczej. Charakter nasz nie był jeszcze z gruntu spaczony, zepsuty, wady nasze nie były nieuleczalnemi. I oto wiek XIX był świadkiem zdumiewającego wprost wewnętrznego odrodzenia naszego. *Dużo wprawdzie jeszcze pozostaje do zdziałania w tym kierunku*, to cośmy dotychczas osiągnęli jest właściwie tylko *początkiem* wewnętrznej naprawy, — ale zawsze już rokuje piękne nadzieje na przyszłość, daje nam pewność, że gdy dalej wytrwamy na tej drodze — wszelkie zakusy wrogów naszych, zmierzające do zupełnej zagłady narodu naszego, spełzną na niczem.

To wewnętrzne odrodzenie było tem potrzebniejszem, ponieważ

właśnie w tym czasie sąsiedni nam naród, pod którego władzę los oddał część narodu naszego, wzbił się po części dzięki przymiotom, których myśmy się dawniej wyzbyli, na najwyższy szczyt potęgi ziemskiej. Mamy tu na myśli naród *niemiecki*. Gdybyśmy tedy trwali po dziś dzień w dawnych błędach — nie byłoby ani mowy o skutecznem oparciu się jego zachłanności.

I na tym atoli narodzie zaczyna się sprawdzać doświadczenie dziejów. I jemu siła i potęga nie przyniosły zupełnego szczęścia, przeciwnie, wytworzyły w nim zarodek wewnętrznego rozkładu. Wypadki ostatnich lat wykazały, że rozkład ten posunął się już bardzo daleko. Jednym z objawów takich jest także ta straszliwa nienawiść rasowa, jaka ogarnęła go niemal całego, to deptanie praw narodów słabszych, lekceważenie słuszności i sprawiedliwości — stawianie *siły* ponad prawem. A cóż dopiero mówić o owych olbrzymich oszustwach, o rozluźnianiu się węzłów rodzinnych, o zaniku wiary i ideałów!

Mamy tedy dziwny przed sobą obraz: zwyciężeni odradzają się wewnętrznie i wskutek tego rosną w siłę; zwycięzcy tracą hart wewnętrzny i rozpaczliwemi wprost wysiłkami starają się utrzymać swą przewagę. Jakiż może być ostateczny wynik walki takich dwóch przeciwników? Odpowiedź na to nie trudna; historya uczy nas przecie, że tylko siła ducha, a nie materyalna potęga utrzymywały przy życiu narody.

Wielką dla nas pociechą może być to, że wszelkie dążności do naprawy wewnętrznej zyskują u nas chętny posłuch, że nie zamykamy uszu na głosy odnośne, że dziś nie czekamy, aż nam obci wytkną błędy, lecz sami je sobie wytykamy. Spisanie wszelkich takich usiłowań naszych w ostatnich pięćdziesięciu latach zapełniłoby tomy całe. Jednem z nich — chociaż w gruncie rzeczy drobnem, jest konkurs, jaki przed rokiem rozpisało pewne pismo warszawskie na najlepszą rozprawę, wykazującą główne nasze wady. A wielka ilość nadesłanych na konkurs ten rozpraw — jakkolwiek obejmował on jeden tylko zabór, dowodzi, jak szeroko już rozlało się rozpoznanie błędów naszych i pragnienie wewnętrznej poprawy. Sąd konkursowy przyznał nagrodę rozprawie *dr. Trzebińskiego* z Podola, który za największe nasze wady uważa *zniewieściałość mężczyzn*, *pyszałkowatość, zarozumiałość*, *lekkomyślność i niesłowność* zwłaszcza w stosunkach i tranzakcyach pieniężnych. Przykra to rzecz — taka krytyka własnego charakteru, a jednak nie odezwał się nigdzie głos, któryby pragnął osłabić wywody dr. Trzebińskiego, któryby zarzucał im nieprawdę. Przeciwnie, ukorzono się przed tą prawdą, powtórzono ją we wszystkich niemal organach prasy — przez co dano dowód, iż na seryo traktujemy dążność do wewnętrznego odrodzenia.

Zdawać by się mogło, że takie usposobienie społeczeństwa naszego powinno wzbudzić u innych cześć i szacunek dla niego. Na to atoli nie zdobyła się część prasy niemieckiej. Liczne jej organa pochwyciły w lot uwagi dr. Trzebińskiego, przedrukowały je i zaczęły szydzić: „patrzcie, *takimi* oto są Polacy według własnego przeświadczenia.“

To wyszydzanie i wyzyskiwanie najlepszych naszych dążności nie raziłoby jeszcze tak bardzo, gdyby oto naród niemiecki i dziś jeszcze przewyższał nas zaletami i przymiotami, a błędów, które my u siebie tępimy, nie posiadał. Tak atoli nie jest. Jak już zaznaczyliśmy na wstępie, naród niemiecki przewyższa nas dziś już chyba tylko właśnie pod względem wymienionych wad, — a bynajmniej nie zaletami. Ta przytem jeszcze zachodzi różnica, że podczas gdy my staramy się wady te rozpoznawać i tępić, on zamyka na nie oczy i każdy głos sumienia zagłusza samochwalbą, wysuwaniem na pierwszy plan materyalnej siły. Licho tedy do twarzy z tem szyderstwem prasie narodu niemieckiego. Zapewniamy ją zresztą, że nas to do raz obranej drogi nie zrazi — kto zaś w końcu tryumfować będzie, czy my ze świadomością naszych niedomagań, czy oni z swą nieomylnością i butą *w złem* — to bliska już zapewne okaże przyszłość.

Cieszy nas to bardzo, że dziś przytoczyć możemy inny jeszcze głos z łona społeczeństwa naszego, dążący również do wewnętrznego odrodzenia. Głosem tym jest świeżo wydana broszura pana Kazimierza *Chłapowskiego* z Kopaszewa przeciwko pojedynkom. I ona jest objawem pomyślnego zwrotu, jaki ostatni wiek wywołał w naszych poglądach, naszem usposobieniu. Tu zaznaczyć nam wypada szczere zadowolenie z tego zwrotu. Kroczmy śmiało dalej na tej drodze, a przedewszystkiem *wytrwale!* Wówczas napewno doczekamy się tej satysfakcyi, że istnieć i w całej pełni żyć będziemy, gdy wrazie potęgi przeciwne w proch się rozsypią lub conajmniej powoli martwić będą w bagnie własnych moralnych niedomagań, których nie umiały zawczasu rozpoznać i wyplenić.

Aby się to stało, na to potrzeba, abyśmy wszelkie takie głosy zapisali sobie głęboko w sercu i wedle nich też postępowali w życiu. *Verus.*

## Odwagi cywilnej!

Mniejwięcej 10 lat temu — czy też dawniej jeszcze, rozpisywały się pisma polskie o następującym wypadku: Pewien lekarz Polak na Śląsku pisywał, jak to nakazywał mu wzgląd na dobro pacyentów, na receptach dla Polaków, *po polsku* przepisy co do używania lekarstw. Aptekarz, Niemiec, który wykonywał według recept tych lekarstwa, samowolnie zmieniał te polskie przepisy na niemieckie. Na przedstawienia lekarza, że przecież z tej samo-

tów wręcz straszne następstwa, że nie rozumiejąc niemieckich przepisów, mogą fałszywie używać lekarstw i przez to narazić się na gorsze jeszcze cierpienia, a nawet na utratę życia — pan aptekarz z ironicznym uśmiechem jeno wzruszył ramionami. Gdy zaś lekarz zagroził mu, że poskarży się na to u przełożonej władzy, aptekarz odpowiedział z lekceważeniem: „uczyń to pan, mnie pan przez to nie zaszkodzi; „*den Polen gegenüber ist heute alles erlaubt*" — *wobec Polaków wszystko dziś dozwolone.*"

Nadmienić jeszcze wypada, że był to Niemiec-katolik — a jeźli nas pamięć nie zawodzi — także filar stronnictwa centrum w swojem mieście.

Pan ten, dziś — o ile nam wiadomo — już nie żyje. Zapewne już na sądzie Bożym zdał sprawę z tego krzywdzenia ludu polskiego i za późno się przekonał, jak błądził i grzeszył. Dlaczego tedy wspominamy znów o tem? Oto dlatego, że ta zasada jego, iż „wobec Polaków wszystko dziś dozwolone", żyje jeszcze, a nawet szerzy się coraz bardziej w kołach niemieckich. Z niej to wypływają wszelkie gwałty i dokuczania ludowi polskiemu ze strony mniejszych zwłaszcza działaczy szowinizmu niemieckiego. Tak samo myślą zapewne wszyscy ci urzędnicy prywatni, po kopalniach i fabrykach, którzy nie po ludzku obchodzą się z polskim robotnikiem. Tak postępują niektórzy niżsi urzędnicy, którzy wbrew prawu zabraniają odbywania polskich zebrań i wieców, zmuszają wprost karczmarzy i restauratorów, aby na zebrania te nie dawali swych lokali itd. itd. Nie ulega zresztą wątpliwości, że zasada ta uogólni się jeszcze bardziej teraz, gdy w Berlinie zatrąbiono znowu w trąbkę hakatystyczną.

Czyż lud polski jest wobec takiej samowoli zupełnie bezradny? — bezsilny? Nam się zdaje, że jeszcze nie. Ma on, a raczej miałby na nią środek niezawodny, gdy- a środkiem tym jest *odwaga cywilna.* Z jakiej bo to przyczyny tacy pomniejsi działacze hakaty zdobywają się na odwagę podobnego gnębienia ludu polskiego? Oto jedynie z przyczyny smutnej wprost *potulności* naszego ludu polskiego. Dużo się wprawdzie w ostatnich czasach zmieniło pod tym względem — ale jeszcze nie dosyć, jeszcze tej potulności pozostało aż nadto...

Precz tedy z tą potulnością! z tą uległością! Spełniamy wszelkie obowiązki, do których nas zmusza przynależność do państwa pruskiego, i te spełniajmy nadal. Ponadto atoli w niczem nie poddajmy się tym, którzy krzywdzą nasze polskie uczucia, nie powiększajmy sami upokorzenia naszego, które i tak już bez naszej winy jest aż nadto przykre. Tacy panowie *nie zjedzą nas* przecie, *zjeść nie mogą,* chociaż nie spełnimy ich *pozaurzędowej* woli. Do tego *prawa nie mają!* A chociaż się gniewać na nas będą za nasze zażalenia, to i ten gniew zaraz nas nie złamie, nie zniszczy! Miejmy tedy odwagę bronić *naszej godności, naszych uczuć* — a gdy ją mieć będziemy, nie gorzej — lecz *lepiej* nam będzie, bo przynajmniej będą zniewoleni więcej nas szanować, liczyć się **z naszą** wolą!

*Poznańczyk.*

# Oszczędności!

Haniebny wprost występek jednego z magnatów polskich, który w arystokratycznej szulerni wiedeńskiej przegrał kolosalną sumę do rąk obcych, wstrząsnął do głębi całą opinię publiczną w Polsce — i napiętnowany został, jak na to zasługuje. Przypadł on właśnie w chwili, w której najubożsi nawet między nami odejmują sobie od ust, aby zaspokoić głód ofiar ciążącego nad nami wrogiego systemu. I w oświetleniu tej chwili wydaje się tem wstrętniejszym. Na cóż się zda praca całego narodu, jeźli ci, którzy największe z kraju ciągną korzyści, którzy, spełniając należycie swe narodowe obowiązki, mogliby podnieść ogromnie jego produktywność, — skarby tego kraju marnotrawią i topią za granicą? Rzeczywiście wobec takich wypadków możnaby zwątpić i uledz zniechęceniu, gdyby wolno nam było zwątpić i zniechęcać się do życia i pracy.

Nie! zwątpić ani zniechęcać się nam nie wolno! Właśnie im więcej mamy takich wyrzutków, niepomnych na nędzę swoich najbliższych, niedolę całej Ojczyzny, tem ochotniej i wytrwalej pracować powinien cały ogół nad udoskonaleniem swem wewnętrznem, nad tem, aby zło nie znalazło naśladownictwa. Obowiązkiem naszym jest nietylko piętnować takie wybryki, ale zwalczać je także wszelkiemi godziwemi sposobami, wytężać wszelkie siły, aby zło wyplenić. Nieraz też, gdy w dążnościach takich słabnąć zaczynamy, Opatrzność jakby umyślnie podobnemi wypadkami wypisuje nam na ścianie straszne „mene-tekel-fares", abyśmy się opamiętali i do nowej zerwali energii.

Tak i w tym wypadku! Rozbudził on sumienie nasze, naszą czujność i oto ze wszech stron dochodzą nas wieści, że walka z karciarstwem bardzo się ożywiła. Witamy je ze szczerem zadowoleniem — byleby tylko nie oznaczało znów — ognia słomianego. Bądźmy przynajmniej pod tym względem bezlitośni; wytępiajmy plugactwo karciarskie bez pardonu, niepozwalajmy na żadne wyjątki. Idźmy za radą czcigodnego twórcy i Patrona naszych Kółek i wykluczajmy z domów naszych nawet t. zw. „niewinne" gry komersowe. I one bowiem często kończą się hazardem, a przedewszystkiem zaprawiają do hazardu młodzież naszą i znieczulają w niej poczucie szkodliwości takiej zabawy.

Czyż położenie nasze gwałtem wprost nie domaga się reform wewnętrznych? Tylko, jeźli to przeprowadzimy energicznie i skutecznie rozbiją się wszelkie zakusy wrogów naszych. Wkroczyliśmy przecie w rok nowy pod znakiem groźnego wprost przesilenia ekonomicznego. Ze wszystkich miast nadchodzą wieści o upadłościach polskich firm handlowych i przemysłowych, rolnicy zaś nasi ledwie się trzymają na nogach pod klęską zeszłorocznych nieurodzai. Ta klęska spadła na nas bez naszej winy — natomiast co do klęski naszego handlu i przemysłu nie jesteśmy chyba tak zupełnie niewinnymi. Prawda — niejedna upadłość — to skutek bojkotu hakatystycznego oraz braku poparcia ze strony swoich, dużo innych jednakże to smutny owoc niezaradności, lekkomyślności i rozrzutności naszej. Życie ponad stan i marnotrawstwo, które dawniej było głównie właściwością polskiego

nu mieszczańskiego, szczerbiło go i szczerbi bezustannie. Czyż to nie godne pożałowania i potępienia, jeźli my, nie umiejąc utrzymać nawet kilku średnich browarów własnych, przy każdej uroczystości zalewamy się formalnie zagranicznem winem? To wino — to obok kart najniebezpieczniejszy moloch kieszeni naszych. Dalecy jesteśmy od proklamowania zupełnej wstrzemięźliwości — chociaż uważamy ją za bardzo dobrą — sądzimy jednakże, że właśnie wydatki nasze na napoje wyskokowe bardzo, bardzo moglibyśmy ograniczyć, że właśnie w ich przesadnej wysokości tkwi źródło niejednej u nas upadłości.

Prawdziwa oszczędność nie wymaga bynajmniej zupełnego odmawiania sobie przyjemności życiowych — tylko rozważnego ich używania, tak, aby nie pochłaniała zbyt wielkiej części dochodów. Polega ona na bardzo ścisłej, lecz bynajmniej nie małodusznej rachunkowości w układaniu preliminarza wydatków. Nie wolno mu przekraczać dochodów ani o fenyg, co więcej, powinien on nawet, gdzie to możliwe, pozostawić pewien remanent dochodów na fundusz zapasowy — a mimo to dawać układającemu możliwie największą sumę wygód i przyjemności zarówno cielesnych jak i duchowych, tych ostatnich przed innemi.

Kładziemy tu zaś szczególny nacisk właśnie na słowo *preliminarz*, czyli zestawienie dochodów i wydatków naprzód, z góry. To bowiem od dawna już było największą naszą wadą, iż dochody nasze a głównie wydatki obliczaliśmy dopiero po ich poczynieniu. Wtedy to spostrzegaliśmy z rozpaczą nieraz, o ile to wydatki przekroczyły dochody, lecz żal przychodził już po czasie. Nie przy końcu — lecz na początku roku należy zestawiać wydatki, biorąc sumę dochodów przypuszczalnie jak najniższą i do tej sumy stosując potrzeby. Tylko w ten sposób unikniemy deficytu przy końcu roku — a w następstwie... upadłości.

Ciężkie położenie nasze wobec bojkotu hakatystycznego wymaga takiej ścisłej rachunkowości. Kupcy nasi i przemysłowcy żądają poparcia rodaków, chociaż nieraz nie mogą im służyć cenami i doborem towarów, jakie ofiarują zasobniejsi obcoplemieńcy. Publiczność nasza, mimo to może chętniej jeszcze nawet w takich wypadkach dawałaby pierwszeństwo swoim, co zresztą jest jej obowiązkiem, gdyby ot widziała, że grosz jej, zaniesiony do kupca rodaka — przynajmniej w kwocie jego zysku, pozostaje w jego, w polskiem ręku. go opłacony czysty zysk naszych kupców i przemysłowców tonie w zagranicznem winie i w zagranicznych innych smakołykach, czyż dziwić się jej można, że powiada sobie: „toć to już wszystko jedno, gdy go od razu damy do obcych kieszeni. A przynajmniej nasza mniej na tem ucierpi“.

Potrzeba nam tedy reformy wewnętrznej na tem polu jaknajwiększej i jaknajgruntowniejszej. Czyhają na nas zewsząd tysiączne niebezpieczeństwa; jakże im podołamy — jeźli sami podkopywać będziemy podstawy naszego bytu? Precz zatem z karciarstwem, precz z rozrzutnością. Pamiętajmy o tem, że tylko te narody ostają się w walce o byt, które nietylko pracować, ale i oszczędzać umieją.

Oby nam rok nowy przyniósł i pod tym względem zmiany na lepsze.

*Czujny.*

## W obronie wolności głosowania.

Po raz — już może dziesiąty przedłożyło stronnictwo wolnomyślne w parlamencie wniosek, żądający większego zapewnienia swobody głosowania przy wyborach do parlamentu. Mimo bowiem, że ustawy nakładają surowe kary na tych, którzy gwałcą wolność wyborczą, gwałty takie zachodzą bardzo często. Ulegają im mianowicie warstwy robotnicze, zależne materyalnie od pracodawców. Najczęstszym z praktykowanych sposobów kontrolowania wyborców jest ten, że strona pragnąca wywrzeć jakikolwiek nacisk, wydaje kartki wyborcze, odznaczające się od innych drobną jaką różnicą. Po kartkach tych poznają tedy członkowie komitetu wyborczego, na kogo zależni od nich wyborcy głosowali. Aby zapobiedz tym nadużyciom, proponuje wniosek wolnomyślnych, aby przy każdych wyborach rozdawano wyborcom w lokalu wyborczym równe zupełnie koperty. Wyborca, otrzymawszy takową, udaje się do sąsiedniego pokoju, tam wkłada swą karteczkę i zalepioną kopertę oddaje zarządowi. W ten sposób wszelka kontrola głosów byłaby niemożliwą.

Ma się rozumieć, że przeciwko żądaniu temu, występują zawzięcie te stronnictwa, które znaczenie swe zawdzięczają jedynie gwałceniu sumień zależnych od nich warstw niższych, jak np. konserwatyści, nacyonalliberałowie, hakatyści etc. I rząd nie sprzyja wnioskowi temu. Ponieważ i u nas coraz częściej zachodzą przy wyborach takie nadużycia — zabrał przy obradach nad *wski* i powiedział mniej więcej co następuje:

„Wniosek niniejszy usuwa błędy ustawy, które dla wszystkich wyborców, mianowicie *polskich* robotników, czynią istniejące prawo wyborcze niedostatecznem. Tak przeszłość jak teraźniejszość przemawiają za tem, że celem usunięcia forteli z kartkami wyborczemi i machinacyi wyborczych, wniosek ten jednogłośnie przyjąć musimy. Komisya rugów wyborczych dostarczyła nam od lat obfitego materyału właśnie z obwodów w mych rodzinnych stronach, z których taką moc przedkładaliśmy dowodów wpływania na wybory, wydalania ze służby (za wybory), utrudniania w zarobkowaniu, grożenia odebraniem pracy itd., że możnaby z nich złożyć całe tomy. Doszło w ostatnim czasie do tego, że pracodawcy proponowali polskim robotnikom kontrakty roczne pod warunkiem, że przyrzekną, iż w przyszłych wyborach głosować będą na tego a tego *(stało się to faktycznie w dobrach p. Tiedemanna z Jeziorek.)*

Toż to zupełnie niemożliwe stosunki. Praktykuje się w naszych dzielnicach nacisk wyborczy w najwyrafinowańszy sposób, wszystko się pogwałca, byle tylko polski lud nie mógł swobodnie i samodzielnie głosować.

M. p. mamy zaś wszelki powód obawiać się w przyszłości gorszych jeszcze nadużyć. O panu kanclerzu rzeszy — powiedziano, że jest prawdziwą zagadką we wszysktkich sprawach politycznych, że tylko w jednej kwestyi powiedział, co myśli, w kwestyi polskiej, w tej wystąpił jako namiętny nieprzyjaciel Polaków. Potrzebuję tylko zwrócić uwagę, z jak wielką gwałtownością wystąpił przeciw nam tutaj i w izbie deputowanych przy interpelacyi wrzesińskiej, i jak brzmiał odnośny ustęp mowy od tronu. Jeżeli więc sam kanclerz rzeszy tak przemawia, to jak dopiero wystąpią przeciw nam w przyszłych wyborach podrzędne władze administracyjne, nie mówiąc już o komisarzach obwodowych, żandarmach, sołtysach i burmistrzach! Jest więc naszym obowiązkiem temu zapobiedz.

Pan kanclerz rzeszy wypowiedział nam więc wojnę. My Polacy nie boimy się żadnego przeciwnika ani rzuconej nam rękawicy. Nie uprawiamy żadnej zgoła polityki stronniczej; nasza narodowa podstawa, na której się opieramy, pozostanie niewzruszoną, choćby z nas jeden mniej lub więcej został wybrany. Ale ograniczane obecnie prawo biednego polskiego wyborcy musi być w całej pełni zabezpieczone, a ponieważ parlament, jako najwyższa instancya, ma obowiązek bronienia wolności wyborczej,

więc, jak sądzę, spełni to swoje idealne zadanie tem lepiej, im większą większością głosów przyjmie ten wniosek.“

Za to dzielne wystąpienie w obronie wolności głosowania polskiego ludu, należy się panu dr. Komierowskiemu serdeczne uznanie. *Specyalny.*

# Mowa

*ks. Prałata Jażdżewskiego,*

wypowiedziana w sejmie pruskim, dnia 13-go stycznia rb.*)

Mości Panowie! Obowiązek nakazuje nam, na nowo omówić naszą tak często zaczepioną narodową pozycyą. Jestem już mniej więcej 30 lat członkiem tej izby i co rok zachodzą te dyskusye; nigdy się bez nich nie obędzie i *one powtarzać się będą dopóty, dopóki wrogi nam system rządowy nie zostanie zarzucony.*

Kanclerz państwa polskiego, biskup Andrzej Załuski, powiedział pewnego razu, że przyszłe wieki różnym rzeczom, które się dożyje, *raczej będą się dziwiły aniżeli wierzyły, że zaszły.*

Nasze polityczne położenie, nieznośne stosunki, wbrew naszej woli zaprowadzone przez politykę rządu, ten nas uciskający i szkodzący nam system rządowy, jest tak *niesłychany,* że raz nareszcie skutkiem pewnych przykrych zajść *w całej Europie wywołał wielkie i usprawiedliwione zdumienie i oburzenie.* I jeżeli temu systemowi dziwią się w całej Europie i w krajach zamorskich, to *wy* musicie uważać za rzecz w porządku, że my, którzy na naszej skórze odczuwamy ten system, *protestujemy przeciw niemu w stanowczy sposób.*

Starać się będę co prawda mówić z możliwym spokojem, ale nie zawsze można zachować spokój. Zacznę od spraw *szkolnych:*

*Mamy szkołę ludową po największej części bez języka ludu.* W całym cywilizowanym świecie nie mogą tego pojąć, my najmniej to pojmujemy, że w państwie kulturnem, jak w Prusach, dzieci ludu nie uczy się prawie wcale w języku rodziny i języku kościoła w szkołach, *które gminy same muszą utrzymywać. Czy to nie jest absurdem?* Czy to nie sprzeciwia się nazwie szkoły jako „*Volksschule*?“ W takim razie lepiej znieść tę nazwę szkoły, nazwać ją przynajmniej „*Staatsschule*“, ale nie „Volksschule“, a resztę pozostawić nauce prywatnej.

Nauka religii, nie udzielana w języku rodziny i kościoła, udzielana w przeciwieństwie do zasad kościoła, *w przeciwieństwie do wyraźnej woli władz duchownych, wszystkich duszpasterzy, wszystkich rodzin, nauka religii, w której nauka miłości, wiara w Boga i w nieśmiertelność duszy wbijaną jest dzieciom za pomocą kija w ręku nauczyciela, przez krwawe pręgi na rękach i plecach, jest absurdem. Takie traktowanie i wykonywanie metody naukowej nazywa ludność polska* **barbarzyństwem,** *ale nie rozwiązaniem zadania kulturnego, które spełniać ma szkoła, i tak je nazywa cały wykształcony i uobyczajony świat.*

Wytłomaczę panom jasno, dlaczego rodzice wszędzie, gdzie to zachodzi, są i muszą być oburzeni. Nauka religii ma być udzielaną stósownie do praktyki i zasad naszego kościoła. Państwo jest tu tylko wykonawczym organem kościoła, ale nie samowładnym zwierzchnikiem i władzcą. Także konstytucya nie zrobiła go zwierzchnikiem, ta bowiem powiada, że nauką religii w szkole ludowej *mają kierować odnośne Towarzystwa religijne* podług ich zasadniczych pojęć kościelnych, ale nie rząd podług swego politycznego zapatrywania.

Punkt wyjścia dla naszej interpelacyi stanowią zajścia w szkole wrzesińskiej. O zajściach tych podały najróżniejsze pisma niemieckie zupełnie przewrotne i wręcz kłamliwe referaty. Musimy się dlatego najprzód zoryentować na podstawie faktów, jaki te rzeczy istotnie miały przebieg.

(Tu mówca zestawia przepisy rządu, dotyczące nauki religii oraz bezowocne starania ojców rodzin *we Wrześni* o przywrócenie polskiego wykładu nauki religii. Udali się z prośbą nawet wprost do *monarchy* — ale również napróżno.)

W podobnych warunkach i stosunkach nie pozostawała rodzicom w Wrześni, gdy rzecz bardzo gruntownie rozważyli, inna droga, jak: albo pozwolić na to, że dzieciom przez naukę w szkole przyswojone zostaną może *fałszywe religijne pojęcia,* albo wystąpić przeciw władzy państwowej, przeciw administracyi szkolnej z zakazem. Wybrali ostatnią drogę i przez to wystawili siebie i dzieci na wszystkie przykre skutki, które stąd mogły powstać. *Uczynili to jednak z szlachetnych względów sumienia.*

Gdy wieść rozeszła się po mieście, że dzieci zostały oćwiczone, zebrały się naturalnie matki i niektórzy ojcowie i weszli do szkoły, aby bronić dzieci. Nikt w tej izbie, nie będzie bronił wykroczenia przeciw prawu w jakiejbądź dziedzinie, ale każdy musi *zrozumieć i uszanować obawę i współczucie rodziców.*

Musicie bądź co bądź uwzględnić, *że gdy się dzieci chłoszcze za to, że słuchały rozkazów swych rodziców, jest to postępowanie, które rodziców w najwyższy sposób musi drażnić i oburzać.*

Tymczasem ludzie, którzy brali udział w zbiegowisku, szczególnie kobiety, zasądzone zostały aż do 2 i pół roku więzienia, *za to, że w swej obawie i wzburzeniu dopominały się o swoje dzieci* i przytem w ostrych i obrażających słowach **broniły swych praw rodzicielskich.**

M. p., wyrok ten, nie jest jeszcze prawomocny. *Ale tyle muszę co do wymiaru kary i obchodzenia się z skazanymi panu ministrowi sprawiedliwości imieniem całej ludności polskiej naszej prowincyi i daleko po za nią powiedzieć: „Sprawiedliwość przedstawiają zawsze symbolicznie z zawiązanemi oczyma, w tym przypadku powinnaby właściwie „Sprawiedliwość“ w izbie sądu ziemiańskiego w Gnieźnie ze wstydu zakryć całe oblicze.*

Marszałek v. Kröcher: Panie pośle drze Jażdżewski, uwaga ta przeciw sądowi idzie mi za daleko. Powołuję pana do porządku.

Ks. *Jażdzewski* mówi dalej:

Słynny filozof *Beccaria* powiedział raz, że „Sprawiedliwość“ ma nietylko zasłonięte oczy; ona jest czasem ślepą, ponieważ wypłakała sobie oczy. *W tym przypadku mogłaby sobie nad surowością wyroku rzeczywiście wypłakać oczy.*

M. p. Pytam teraz, czy rząd myśli zmienić swoje zarządzenia w dziedzinie szkolnej? Powiedziałem już, że Kościół katolicki co do udzielania nauki religii postawił zasady, których ani rząd, ani jakabądź władza nie powinny przekraczać, bo rząd obowiązany jest przecież szanować i respektować zasadnicze ustawy każdego kościoła. Ustawy te muszą w każdym razie wierni tego kościoła respektować i według nich postępować. Już na soborze trydenckim przyjęli Ojcowie Kościoła katolickiego przepisy, które żądają, aby katechizm tłomaczyli *w języku ludu.*

To *jest niewzruszona zasada i przepis Kościoła katolickiego.* Według tej zasady mają duchowni obowiązek udzielania nauki religii w języku *ojczystym* i według tej zasady winni jej także udzielać nauczyciele jako ich zastępcy, jeżeli nie mają popaść w przeciwieństwo do swego Kościoła.

Tę *stałą zasadę Kościoła katolickiego narusza królewsko-pruska władza szkolna,* nakazując na własną rękę, bez porozumienia z *władzą duchowną, bez porozumienia z rodzicami, udzielać tej nauki w innym języku.* W tych warunkach trzeba wyrozumieć, że rodzice, znający te zasady kościelne, stawiają opór nauce

*) Patrz artykuły p. t. „Sprawa polska w sejmie pruskim“, zamieszczone w numerach 3-cim i 5-tym „Pracy“. (Przyp. Redakcyi).

religii w obcym języku, którego dzieci nie rozumieją.

M. p., w konstytucyi pruskiej napisano w artykule 25:

*„Nauką religii w szkole ludowej kierują odnośne Towarzystwa religijne.“*

To się jednak nie dzieje. Rząd nie zważa ani na ustawy soboru trydenckiego, ani na artykuł 25 konstytucyi, tylko zaprowadza samowolnie naukę religii na podstawie jednostronnych raportów, po największej części protestanckich inspektorów szkólnych, w niemieckim, dzieciom mało zrozumiałym języku i *żąda potem, by ludność była na to spokojną.*

„Norddeutsche Allgemeine Zeitung“ w referacie o zajściach wrzesińskich twierdziła zupełnie fałszywie, że tylko w Poznaniu i w Wrześni rodzice się oświadczyli przeciw nauce religii w obcym języku. Nie, *to się dzieje w bardzo wielu innych gminach!*

Skoro zachodzą tak marne stosunki, jeżeli ustawy Kościoła podlegać muszą tego rodzaju jednostronnym rozporządzeniom państwowym, jeżeli się nawet zasad konstytucyi nie przestrzega ściśle, musimy postawić rządowi pytanie, czy na tem draźliwem polu nie zechce wreszcie zaprzestać podobnych eksperymentów, które ludność, jak to się pokazało w zajściu wrzesińskiem, oburzają do żywego, a cały świat ucywilizowany wprawiają w zdumienie nad tem, że *w państwie oświeconem mogą zachodzić takie fałszywe stosunki, które są całkiem niepotrzebne i bez wartości.*

O *karach cielesnych* nie będę mówił obszernie przy tej sposobności. Omówię tę sprawę *bliżej może przy etacie ministerstwa oświaty.*

Stan rzeczy jest taki, że nauczyciele *mają w ręku daleko większe prawo chłosty, aniżeli samym rodzicom wolno je wykonywać wedle przepisów prawnych.* Dlatego *ludność jest tak bardzo niezadowolona z tego powodu.* Przy nauce religii zaś powinno się usuwać wszelką karę, unikać nawet wszelkiego łajania, aby nie naruszać i nie obniżać powagi i świętości przedmiotu.

M. P. Nawet poprzednicy pana min. *Studta* byli tego zdania, *że w nauce religii należy dzieciom utrzymać język ojczysty.* Tak np. pan dr. Bosse powiedział w sejmie 16 marca 1894 r.:

„Nie chcę przymusu sumienia w szkole! Nie chcę, aby niemiecka nauka była gwałtem.“

Przyznał przez to, że udzielanie nauki religii w niemieckim języku dzieciom polskim *jest przymusem sumienia.*

Teraz pytam panów: Jeżeli nawet w administracyi szkólnej dotychczas takie głoszono zasady, jakże można twierdzić, że zajścia owe nie powodują przymusu sumienia?

Administracya szkólna dotychczas uznawała to w zasadzie zupełnie i musiała uznawać, i wszyscy rodzice uważają to za *przymus sumienia.* Sądzę, iż coś podobnego tem mniej jest dozwolone, że mamy przymus szkólny. Rodzice *muszą* posyłać dzieci do szkoły, *dlatego szkoła winna bardzo dbać o to, aby w dziedzinie tak delikatnej, jaką jest nauka religii, nie niepokoiła sumienia rodziców i dzieci.* A jeżeli tak się nie dzieje, to panowie nie możecie dziwić się temu, że między ludnością naszej dzielnicy rodzinnej *wzrastać będzie niezadowolenie.*

M. P. Jakież jest pod tym względem zapatrywanie wszystkich ludzi rozumnych i mających znajomość rzeczy? Przeczytam Panom mały ustęp z pamiętników *jenerała Stoscha.* Pisze on o niektórych rozporządzeniach w dziedzinie języka:

„Niemiec w Alzacyi zachował swój język, chociaż zresztą stał się Francuzem, jakoby z krwi i kości. Walończyk jest 600 lat pod panowaniem Anglików, ale pozostał wierny swej mowie, również Wendowie nad Sprewą, Polacy na Górnym Ślązku itd. A pomimo tych wszystkich spostrzeżeń są ludzie, nawet wielcy politycy, którzy sądzą, iż Polaków zrobią Niemcami w ten sposób, że użyją gwałtu przeciwko ich mowie.“

To powiada niemiecki minister stanu, mąż zaufania u korony!

Przechodzę teraz do politycznej części moich wywodów i pod tym względem zwracam się mianowicie do prezesa ministrów.

M. P., wiadomo Wam, że korona pruska nie zdobyła Księztwa Poznańskiego, ani nie przejęła go na drodze dziedzictwa, lecz wskutek *traktatu wiedeńskiego.* Przy ówczesnych rokowaniach reprezentantów mocarstw na kongresie wiedeńskim wymieniono noty, w których objaśniono w jaki sposób mocarstwa Prusy, Austrya i Rosya mają się obchodzić z polskimi poddanymi. Król pruski w nocie swej przyznał, że rządy sprawowane wobec Polaków, muszą mieć *podstawę odpowiadającą duchowi i obyczajom narodu.* Prawda, że od r. 1815 zaszły ważne przemiany, ale warunek główny, pod którym król pruski wcielił nas do swego państwa, pozostał ten sam, *gdyż on dotyczy praw przyrodzonych i obyczajowych.*

A teraz uprzytomnijcie sobie panowie, co się w dziedzinie prześladowań języka polskiego i naszej narodowości stało od tego czasu. W tym kierunku zaszliśmy tak daleko, że nawet w nauce religii język polski wyparty, który monarchowie pruscy przyrzekli otaczać opieką i panowie dziwicie się, że ludność z tego niezadowolona i że ustawicznie zwraca się do rządu w poważny sposób z żądaniem, aby z drogi nowej zawrócił i uczynił *zadość skromnym wymaganiom ludności?*

Wszystkie zaś w kierunku narodowym wyrażone życzenia ludności po prostu się odrzuca, a potem dziwią się i skarżą, jak to uczynił minister finansów przed kilku dniami, że kto sieje wiatr, sprząta burzę. Tego wiatru nie sieje nasza ludność, ale sieje *go inna strona, a nawet rząd sam.*

Uczony *Bluntschli* powiedział:

„Jeżeli naród zaczepiony został przez rząd w tem, co stanowi jego moralną i duchową istotę, to członkowie tego narodu mają powód do stawiania jak najenergiczniejszego oporu. *Niema sprawiedliwszego powodu do oporu przeciw tyraństwu, jak obrona narodowości. Lojalność może być poszkodowaną, ale prawo pozostaje nienaruszonem.*“

W położeniu takiem my się znajdujemy; musimy się bronić; nasza narodowość, nasz język, a nawet nauka naszego Kościoła nie bywają przez rząd uwzględniane. A panowie dziwicie się, że ludność nasza niezadowolona i że wielki w całym kraju panuje niepokój. Biorąc rzecz po ludzku, jest niemożliwością, aby było inaczej. Żądamy od władzy tylko tego, aby z uwzględnieniem słusznych wymogów państwowych respektowała prawa naszej narodowości, którą wcieliła do swego organizmu.

Tego *żądają przykazania sprawiedliwości i ludzkości,* a jeżeli z nami będą się obchodzili po ludzku i sprawiedliwie, jak się należy, wówczas zachowywać się będziemy w państwie, do którego należymy — spokojnie, znosić będziemy z cierpliwością i poddaniem co na nas spadnie.

*Nie żądamy od nikogo łaski, ani w dziedzinie ustawodawstwa, ani w administracyi.* ***Żądamy tylko*** *sprawiedliwości i mamy prawo jej żądać tak od władzy państwowej, jak od naszych współobywateli.*

(Żywe oklaski na ławach Polaków.)

## Historya — mistrzyni narodów.

Zawsze gdy rok stary zstępuje do grobu a nowy rozpoczyna swe panowanie, myśl nasza, niemogąc odgadnąć zagadki, jaką nasuwa nam nowy przybysz, zwraca się mimowoli wstecz i w rozpamiętywaniu wypadków minionej epoki szuka jakoby otuchy i pokrzepienia na

przyszłość ciemną i niepewną. A takie uprzytomnianie sobie przeszłości jest rzeczą dobrą i pożyteczną. Historya to mistrzyni narodów. Z niej dużo nauczyć się można, czerpać pełnemi dłońmi doświadczenie, które rodzi spokój i rozwagę a rozprasza troski. Dla nas zwłaszcza zawiera historya niewyczerpaną skarbnicę pokrzepienia i nadziei. Uczy nas mianowicie, że żadna potęga, chociażby największa, jeżli oparta na gwałcie, przemocy, grabieży i ucisku słabszych nie jest trwałą i wieczną, że rychło w bezustannej zmianie ustrojów politycznych w proch się rozsypuje a na jej gruzach powstają z chwałą narody, które opierają byt swój na prawie Bożem i przyrodzonem, na zdrowym duchu i niezbrukanem krzywdzeniem innych sumieniu. Taką naukę daje nam mianowicie wiek XIX — ten wiek przełomowy w dziejach pochrystusowych. Dlatego też dzisiaj, na wstępie roku nowego, zamiast bawić się w bezowocne odgadywanie przyszłości, rzućmy okiem w przeszłość i przypominajmy sobie wypadki wieku tego.

Narodził się on wśród huku armat i szczęku oręża. W pierwszych jego latach Napoleon napełniał świat cały wrzawą wojenną, mierzył na czele zwycięskich armii wzdłuż i wszerz Europę, obalał stare i budował nowe państwa. Przed korsykańskim tym bohaterem, którego własny geniusz i przewrót, dokonany przez rewolucyę francuską, wyniosły na szczyt potęgi ludzkiej, drżały najpotężniejsze mocarstwa, schylali kornie czoła monarchowie z łaski Bożej. Zdawało się, że świat stary chwieje się w swych posadach, że żelazna stopa zdobywcy zmiażdże dawne formy polityczne, że na gruzach starej Europy powstaną nowe twory. Tuż jednak pod najwyższym szczytem otwiera swą paszczę przepaść najgłębsza. Karząca ręka Opatrzności spoczęła na człowieku, który nie umiał stawić kresu swej pożądliwości i dumie, i bohaterska epopeja napoleońska zakończyła się tragicznie. Na śniegiem zasłanych polach Rosyi wyginął kwiat tej wielkiej armii, której w otwartej bitwie nie sprostał żaden nieprzyjaciel. Na wieść o straszliwej klęsce niezwyciężonego dotychczas mocarza odetchnęły gnębione narody i schwyciły za broń, aby wywalczyć sobie swobodę. Przez całe dwa lata jeszcze wielki wódz ze zmiennem szczęściem mężne stawiał czoło przeciwnościom, aż wreszcie uległ pod nawałem nieprzyjaciół. Na dalekiej, skalistej wyspie, jako więzień surowo strzeżony, zakończył żywot człowiek, który przez cały szereg lat dyktował prawa światu. Smutny przykład znikomości rzeczy ludzkich.

Europa wróciła znów do dawnego porządku. Kongres wiedeński przywrócił korony monarchom, pozbawionym tronu przez Napoleona, i na całej linii tryumfowała idea legitymizmu. Monarchowie trzech najpotężniejszych mocarstw zawarli pomiędzy sobą przymierze, celem wspólnego tłumienia wszelkich zakusów rewolucyjnych, i przez długi szereg lat ludy europejskie cieszyły się dobrodziejstwami pokoju.

Po katastrofie napoleońskiej Rosya, Austrya i Prusy, a poniekąd i Anglia, zajęły pierwszorzędne miejsce w koncercie mocarstw europejskich, decydowały o losach świata. Francyę natomiast, wycieńczoną kilkunastoletnią srogą wojną, zepchnięto na stanowisko drugorzędnego państwa. Oczywiście, że patryotyczny i ambitny naród francuski spoglądał z bólem i z tajoną wściekłością na ten upadek swej potęgi; nienawiść zaś jego zwracała się przedewszystkiem przeciwko rodzinie Bourbonów, którą zwycięscy monarchowie umieścili znów na tronie Francyi. Tłumiony dość długo pożar wybuchnął płomieniem w roku 1830, w t. zw. rewolucyi lipcowej, która wygnała z Francyi Bourbonów, a wyniosła na tron tego kraju rodzinę Orleanów.

W lutym r. 1848-ym złożono z tronu Ludwika Filipa, „króla-obywatela,“ i ogłoszono rzeczpospolitą. Sygnał ten paryski znalazł odźwięk w całej prawie środkowej i południowej Europie.

W Berlinie i Wiedniu, w Rzymie i Medyolanie, w Madrycie i Budapeszcie ludność prawie jednocześnie podniosła broń przeciwko dotychczasowej władzy. W rozruchach tych ostateczne zwycięstwo było wszędzie po stronie rządów.

Tymczasem rządy republikańskie we Francyi trwały zaledwie lat kilka. Wybrany na prezydenta rzeczypospolitej ks. Napoleon, bratanek wielkiego Napoleona, w następstwie uwieńczonego skutkiem pomyślnym zamachu stanu, zamienił tę godność na koronę cesarską. Za drugiego cesarstwa Francya odgrywać znów zaczęła górującą rolę w polityce wszechświatowej. Wbrew swej zapowiedzi, że „cesarstwo oznacza pokój“ *(l'empire c'est la paix)*, Napoleon III prowadził liczne wojny, wyłącznie prawie w interesie obcym. Pospołu więc z Anglią wziął w obronę „chorego człowieka nad Bosforem“ — tak nazywano Turcyą — i wypowiedział wojnę Rosyi. Długa i krwawa ta wojna, tocząca się naokoło murów Sebastopola, zakończyła się zdobyciem przez armię francusko-angielsko-włoską tej warowni i pokojem, który przedłużył żywot skołatanej Turcyi znaczny czas jeszcze. W kilka lat po tej tak zw. krymskiej wojnie spotykamy znów armie francuskie, walczące w północnych Włoszech zwycięsko z Austryakami w interesie Włochów, dążących do zdobycia sobie jedności politycznej. Wreszcie i na drugiej półkuli bagnety francuzkie popierały przez czas jakiś meksykańskiego cesarza Maksymiliana, który, opuszczony następnie przez swych sojuszników, skończyć musiał tak tragicznie wzięty do niewoli i rozstrzelany przez republikańskiego swojego przeciwnika.

Świecąca dość długo jasnym bardzo blaskiem gwiazda napoleońska zgasła na pobojowisku sedańskiem wśród zwycięskich okrzyków groźnego nieprzyjaciela. Jednocześnie spełniły się życzenia niemieckich „demagogów“ z roku 1848, i Niemcy zamieniły się z „geograficznego pojęcia“ w potężne i przynajmniej na zewnątrz jednolite państwo. Wielkiego tego dzieła dokonały Prusy, których losami rządził wówczas niemal samowolnie „mąż krwi i żelaza“—Bismarck. Zapewne, że w społeczeństwie niemieckiem nurtowały już oddawna prądy, ułatwiające dzieło zjednoczenia. Bismarck jednak sprowadził te prądy do jednego koryta, ześrodkował rozstrzelone siły w jednem ognisku, aby je następnie, z cechującą go brutalną bezwzględnością, wyzyskać na swoje cele. Pierwszym warunkiem zjednoczenia całego legionu państw, państewek i wolnych miast niemieckich pod hegemonią Prus było wyrzucenie przodującej dotąd w Niemczech Austryi z tak zw. związku niemieckiego. Spór o zdobyte (w r. 1864) wspólnie przez Prusy i Austryą na Duńczykach księstwo Szleswicko-holsztyńskie nastręczył Bismarkowi pozór pożądany. Wybuchła wojna roku 1866, w której licho przygotowana i gorzej jeszcze uzbrojona, a nadto zmuszona walczyć jednocześnie na dwóch frontach, bo na południu z Włochami, Austrya uległa po bohaterskiej obronie iglicówkom pruskim i genialnej strategii Moltke'go. Prusy pozbyły się wzpółzawodnictwa Austryi w Niemczech, a za jednym zamachem powiększyły swe dzierżawy, wcielając do nich cały szereg państw niemieckich, które, wierne swym zobowiązaniom, walczyły po stronie Austryi.

Zjednoczywszy w ten sposób siły Niemiec, Bismark niegodnemi machinacyami wywołał wojnę z Francyą. Wojna ta zakończyła się zupełnem tryumfem Niemiec. W szeregu morderczych bitew wojska cesarskie zostały rozbite lub wzięte do niewoli, a los swych żołnierzy podzielił sam Napoleon, zawieziony, jako jeniec wojenny, do Niemiec. Gdy w straszliwej tej katastrofie runęło cesarstwo, rząd republikański wziął się energicznie do organizowania obrony narodowej. Powołane jednak naprędce pod broń zastępy francuskie dotrzymać nie zdołały pola wyćwiczonym w boju

i ożywionym tylu zwycięstwami pułkom niemieckim i Francya zgodzić się musiała nietylko na zapłacenie olbrzymiej (5 miliardów franków) kontrybucyi wojennej, ale, co gorsza, i na odstąpienie Niemcom dwóch swych prowincyi, Alzacyi i Lotaryngyi.

Bismarck, zdobywszy Niemcom zewnętrzną potęgę, nie zapewnił im jednak szczęścia i wewnętrznego spokoju. Opierając swą „politykę krwi i żelaza" na najgorszych instynktach natury ludzkiej, głosząc i praktykując barbarzyńską zasadę „siły przed prawem", zamienił ten mąż stanu szlachetny dawniej w swej większości naród niemiecki w społeczeństwo, pozbawione wszelkich idealniejszych dążeń i celów.

Bismarck jednak stał się nietylko złym duchem Niemiec, ale poniekąd i całej prawie współczesnej ludzkości. W następstwie brutalnej jego polityki Europa zamieniła się w jedno najeżone działami i bagnetami obozowisko, rozpoczął się pomiędzy mocarstwami zabójczy wyścig zbrojenia się na lądzie i na morzu, nastał okres zbrojnego pokoju, pod którego brzemieniem upada wycieńczona Europa. Nadchodzi również epoka wielkich koalicyi politycznych. Bismarck pragnąc zabezpieczyć swą zdobycz przed wzrastającą ze zdumiewającą szybkością na siłach Francyą, zawarł przymierze ze skołataną zagranicznemi niepowodzeniami i wewnętrznemi trudnościami Austryą, oraz z młodemi, a już opanowanemi manią wielkości, Włochami. Odosobnienie jednak polityczne Francyi nie trwało zbyt długo. Naprzeciw potrójnego przymierza Niemiec, Austryi i Włoch powstała druga, niemniej potężna kombinacya polityczna, alians francusko-rosyjski.

Od wojny francusko-niemieckiej panował w Europie względny spokój, kotłowało się jedynie w siedlisku wiecznych niepokojów, na tureckim Wschodzie. „Chory człowiek" dogorywał w dalszym ciągu, lecz umrzeć mu nie pozwolili europejscy jego lekarze. Amputowano mu jednak jeden członek po drugim, i dzięki tej amputacyi, Bułgarya i Rumunia uwolniły się z pod panowania padyszacha. Natomiast zamiar Greków zapewnienia sobie kawała tureckiej zdobyczy zakończył się smutnem fiaskiem. Liche, same w sobie, a gorzej jeszcze prowadzone wojska greckie, poniosły od Turków sromotne cięgi i jedynie interwencyi mocarstw europejskich, które powstrzymały zwycięzką dłoń Turcyi, Grecya zawdzięcza ówczesne swoje ocalenie.

Wobec niemożności rozszerzania swych dzierżaw w Europie, mocarstwa europejskie zwróciły oczy na zdobycze zamorskie, i od lat kilkunastu jesteśmy świadkami gorączkowej działalności kolonialnej. Początkowo główny przedmiot pożądliwości europejskiej stanowił „czarny kontynent", w którym Anglia, Francya i Niemcy zagarniają coraz znaczniejsze obszary. Włochy natomiast, które początkowo i w Afryce zamierzały dotrzymać kroku tym mocarstwom, po dotkliwem sparzeniu sobie palców w wojnie z abisyńskim Menelikiem — straciły ochotę do nowych „awantur kolonialnych..."

Że zresztą awantury te mogą się stać niebezpieczne nawet dla mocarstwa daleko potężniejszego, niż zbankrutowane materyalnie, a po części i moralnie Włochy, dowodzi najlepiej tocząca się zawsze jeszcze wojna pomiędzy Anglią a Burami. Olbrzymia Anglia od przeszło dwóch lat wytęża wszystkie swe siły, aby wcielić do swych posiadłości południowo-afrykańskich drobny, zamieszkały zaledwie 200,000 głów kraj chłopów holenderskich, a spotykają ją same niepowodzenia i klęski. Nawiasem mówiąc, objawem jest wielce pocieszającym, przekonywającym o istnieniu szlachetnego pierwiastka w naturze ludzkiej, że w wojnie toczącej się obecnie w Afryce Południowej sympatye całego niemal cywilizowanego świata są po stronie Burów, czyli narodu, prowadzącego w obronie praw swoich najświętszych rozpaczliwą i ostatecznie, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, beznadziejną walkę z potężnym najezdnikiem.

Zabiegi kolonialne mocarstw europejskich nie ograniczają się jednak na samej Afryce. W ostatnich zwłaszcza czasach większe zainteresowanie, niż „czarny kontynent," wzbudziło na dalekim wschodzie olbrzymie rozmiarami państwo Niebieskie, którego niemoc wykazała zarówno ostatnia wojna z Japonią, jak i najazd mocarstw, spowodowany napadem „bokserów" na poselstwo europejskie i mordowanie chrześcian. Zdaje się też nie ulegać wątpliwości, że Chiny dotychczasowe swe istnienie zawdzięczają jedynie wzajemnej nieufności zainteresowanych w tej sprawie mocarstw. Dziś jednak lub jutro nieufność ta może ustąpić miejsca porozumieniu się, a wówczas poruszana od pewnego czasu myśl podziału Chin stanie się faktem dokonanym.

Zresztą mocarstwa europejskie, operujące na Wschodzie azyatyckim, spotykają się tam obecnie z dwoma nowymi współzawodnikami, czy wspólnikami w oczekiwanej zdobyczy. Jednym z nich jest Japonia, która w cichości podpatrzywszy u siebie wszelkie nabytki cywilizacyi europejskiej, zwłaszcza na polu wojskowem, stanęła odrazu w pierwszym rzędzie mocarstw morskich. Daleko większe jednak niebezpieczeństwo, niż od Japonii, zagraża mocarstwom europejskim ze strony drugiego współzawodnika, a mianowicie ze strony Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Potężna rzeczpospolita z tamtej strony Oceanu do niedawna żadnego prawie nie brała udziału w sprawach polityki międzynarodowej. Od pewnego jednak czasu i w Ameryce budzić się zaczynają pretensye do odgrywania roli wszechświatowej. Pierwszym krokiem na tej drodze była zwycięska wojna z Hiszpanami, która obrotnych i bezwzględnych, lecz pokojowych Yankesów odrazu zamieniła w naród wojowników i zdobywców. Ponieważ zaś apetyt zwiększa się przy jedzeniu, przeto przygotować się wypada na dalsze niespodzianki ze strony tego potężnego, lecz młodego jeszcze i przychodzącego dopiero do świadomości sił swoich organizmu państwowego.

* * *

W powyższym artykule staraliśmy się skreślić w głównych tylko zarysach najważniejsze wypadki dziejowe wieku z wyjątkiem wypadków specyalnie polskich, o których niejednokrotnie pisaliśmy na innem miejscu. Z suchych tych danych wypływa jednak ogólniejsza nauka. W wyższym może stopniu niż poprzednie stulecie, i wiek XIX-ty wypełniają od początku do końca krwawe zatargi pomiedzy narodami, gorączkowe i bezwzględne gonienie za materyalną potęgą. Barbarzyństwo „homo homini lupus" (człowiek człowiekowi wilkiem) i w tym wieku, szczycącym się tak świetnym jakoby rozwojem cywilizacyi, nie utraciło jeszcze swego znaczenia. Na ponurem tem i przygnębiającem tle dziejowem rysują się jednak blaski, zapowiadające lepszą przyszłość ludzkości. Idea więc braterstwa narodów i wieczystego pokoju zdobywa sobie coraz liczniejszych i coraz potężniejszych zwolenników i opiekunów. Idea ta przy samym schyłku wieku opuściła pole mniej lub więcej akademickich, a tem samem bezskutecznych rozpraw, a stanęła na porządku obrad zebrania, w którem wzięły udział wszystkie państwa świata cywilizowanego. Jak z góry przewidzieć było można, konferencya pokojowa w Hadze, którą zaliczyć wypada do najważniejszych i najbardziej pouczających wypadków w dziejach świata, nie wydała odrazu praktycznych wyników, nie położyła kresu wojnom; niemniej jednak znaczenie jej moralne jest olbrzymie, jako pierwszego poważnego kroku na drodze, prowadzącej ku zerwaniu z barbarzyństwem wojny i uszczęśliwieniu ludzkości spokojem wieczystym.

*W. W.*

# Z TYGODNIA.

Wielką sensacyą w całym świecie wywołała wiadomość, że rząd holenderski przedłożył rządowi angielskiemu *propozycye pokojowe Burów* i że ofiarował swe pośrednictwo w tej sprawie. Wiadomość ta doznała wprawdzie nazajutrz już znacznej modyfikacyi, dowiedziano się, że nie ma jeszcze mowy o propozycyach pokojowych — jedynie o pewnym impulsie do zawarcia pokoju, danym przez gabinet Holandyi — ale dobre wrażenie wieści tej pozostało. Wobec zajęcia i współczucia, z jakiem cała cywilizowana ludzkość śledzi rozwój walki w południowej Afryce, jest to zupełnie naturalnem. Nie ma pewnie dziś w całym świecie — poza Anglią — nikogo, któryby nie ubolewał nad smutnym losem dzielnego ludu Burów, któryby nie żywił życzenia, ażeby im się powiodło wywalczyć narodową i polityczną niezależność. W miarę zaś, jak wobec niewyczerpanej potęgi Anglii szanse takie dla Burów maleją, im bardziej topnieją nieliczne ich szeregi na polu walki, im większą nędzę znosić muszą żony i dzieci Burów w tak zwanych obozach koncentracyjnych, rodzi się coraz gorętsze życzenie zakończenia tej bezowocnej dla obu stron walki, zaprzestania krwi rozlewu i ocalenia dla Burów tego, co da się ocalić. Niestety, spełnienie życzenia tego nie jest jeszcze tak blizkiem, jak się w pierwszej chwili, po pojawieniu się owej wiadomości zdawać mogło. Okazało się oto, że rząd holenderski rzeczywiście nie przedłożył jeszcze jakichkolwiek pochwytnych projektów, że niema do tego nawet upoważnienia ze strony walczących Burów, że uczynił jedynie pierwszy krok z własnego popędu i ofiarował rządowi angielskiemu pośrednictwo swe do ewentualnych układów, wskazując zarazem na smutne i opłakane dla obu stron skutki tej wojny. Nie wiedzieli o tym kroku podobno ani prezydent *Krueger*, ani członkowie przebywającej jeszcze w Holandyi delegacyi Burów, która przed rokiem objeżdżała stolice europejskie. Rząd holenderski nie wtajemniczył też w zamiar swój sędziwego Kruegera, a nie uczynił tego z tej przyczyny, ponieważ rząd angielski z *Kruegerem* nigdy pertraktować nie zechce.

Krok ten rządu holenderskiego okazał atoli, że *Anglia chętnie by zgodziła się na rokowania pokojowe*, gdyby tylko podjęte zostały w formie, nie ublizającej jej znaczeniu i powadze. Rząd angielski odpowiedział bowiem na propozycyą holenderską bardzo uprzejmie, a prasa angielska wyraża jedynie ubolewanie, iż nie przedłożono jeszcze propozycyi Burów. W każdym razie otrzymał rząd holenderski zapewnienie, że gabinet londyński wszelkie takie propozycye zbada życzliwie i podda je należytej rozwadze.

Zdaje się tedy, że przez to przynajmniej przełamane zostały pierwsze lody i że może rychło już doczekamy się *dalszych* kroków w tym kierunku. To bowiem nie ulega wątpliwości, że znaczna część ludu Burów już jest znudzona walką i pragnie szczerze pokoju.

Ciekawa tylko rzecz, jakie stanowisko zajmą wodzowie Burów, stojących jeszcze w polu? O tych donoszą, że rozporządzają jeszcze siłami, które długo przeciągnąć mogą wojnę. I tak oddziały *Bothy, Dewetha* i *Delareya* liczyć mają razem z pomniejszymi do 10 000 doskonale uzbrojonych ludzi, posiadają przytem dość liczną artyleryą, zabraną przeważnie *Anglikom*. Pogłoski, nie wiadomo wprawdzie, czy prawdziwe, zapewniają, że trzej ci wodzowie zabrali w ostatnich miesiącach Anglikom przeszło 30 dział, co więcej, trzy pociągi z amunicyą i *kasą wojenną w kwocie 14 milionów marek*. Gdyby tak być miało, to może jeszcze u wodzów tych skłonność do zawarcia pokoju nie będzie zbyt wielką. Ależ poinformuje nas o tem prawdopodobnie najbliższa chwila.

Anglia pragnie szczerze pokoju, ale swoją drogą czyni ogromne wysiłki, aby pokonać opór Burów. We wszystkich teraz krajach zakupuje konie, których potrzebuje na polu walki rocznie przeszło 100 000. W ostatnich tygodniach zakupiono dużo koni w Niemczech i Austryi. Prasa tych krajów, życzliwa Burom, zwraca na to uwagę, że przecież wywóz koni dla armii angielskiej nie zgadza się z neutralnością odnośnych państw.

Co do nas, to również życzylibyśmy Burom zwycięztwa, skoro to jednakże niemożliwem być się zdaje, życzymy im jaknajkorzystniejszego pokoju. Wiemy bowiem dobrze z własnego doświadczenia, co to niewola i ucisk.

W *Ameryce* północnej wre jak w kotle z powodu zapowiedzianej wizyty księcia *Henryka pruskiego*. Z właściwą sobie pyszałkowatością zabierają się Jankiesi do rzeczy, aby olśnić po prostu książęcego gościa przepychem przyjęcia. A ponieważ mają na to, więc też to przyjęcie będzie oczywiście na zewnątrz okazałe. Przecie „republikanie" Amerykanie dawno już nie widzieli u siebie członka panującej w Europie rodziny! Trzeba mu tedy pokazać, na co stać potężnej republice. Będą więc olbrzymie bankiety, uroczystości, a projektowane jest także *obwożenie gości po wielu miastach wielkich*, bo wszyscy ich mieszkańcy pragną ujrzeć na własne oczy *prawdziwego* księcia i po amerykańsku uścisnąć mu rękę. Ogólny „zapał" mącą jedynie *anarchiści* i... *Polacy!* Pierwsi nie tają się bynajmniej z zamiarem powitania księcia po swojemu, to jest, jeźli się okaże okazya, to strzałem rewolwerowym lub bombą dynamitową; drudzy pragną na mocy wolności obywatelskiej zaprotestować przy tej sposobności przeciwko antypolskiej polityce pruskiej, a podobno nawet wręczą księciu odnośny memoryał. Bądź jak bądź z Polakami *łatwiejsza* będzie sprawa, niż z anarchistami. Protest Polaków będzie oto małym tylko huczkiem, który nam nie pomoże, a nikomu, nawet księciu nie zaszkodzi. Skończy się wszystko na słowach i uroczystości dalszym pójdą trybem. Zamiary anarchistów zaś grożą czemś gorszem. Nic dziwnego więc, że policya amerykańska jest w pełnym ruchu i że stara się wyłowić wszystkich członków niebezpiecznej tej szajki, aby osadzić ich na czas pobytu księcia *pod kluczem*. Czy to się powiedzie w tak ogromnym kraju, to rzecz inna, na dobrej woli nie zabraknie pewnie.

Krzywem okiem na te przygotowania amerykańskie spogląda *Anglia*. Jeden z ministrów angielskich dolał też już trochę zimnej wody do zapału amerykańskiego, przypominając, iż podczas wojny amerykańsko-hiszpańskiej jedynie Anglia zapobiegła interwencyi mocarstw europejskich z Niemcami na czele na korzyść *Hiszpanii*. Przypomnienie to chwilowo przebrzmiało bez echa w ogólnej wrzawie, ale może później, gdy po festynach zapanuje zwykły „katzenjammer" — odezwie się tem silniej. To też korzyści faktycznych ta wycieczka księcia do Ameryki, jak to już raz zaznaczyliśmy, Niemcom nie przyniesie, co przewiduje już też z góry nawet berliński „*Tageblatt*."

Inna — jeszcze podobna do tej podróży księcia zwraca na siebie ogólną uwagę, a mianowicie podróż austryackiego następcy tronu *Franciszka Ferdynanda do Petersburga*. Chociaż półurzędowe organa austryackie zapewniają, że podjęta została z czysto osobistych motywów — nie braknie głosów, które przypisują jej wielkie polityczne znaczenie a nawet uważają ją za nowy dowód zbliżenia się *Austryi do Rosyi*. Zbliżenie to ma się nawet wprost zwracać przeciwko Prusom względnie Niemcom, których polityka celna zagraża porówno interesom żywotnym obu tych państw. Łatwo też być może, że ta podróż — chociaż *bez wrzawy* — jaka towarzyszy podróży księcia pruskiego do Ameryki — więcej od tej osta-

tniej zaważy na szalach „wielkiej polityki.“

*W Wiedniu* zanosiło się w ubiegłym tygodniu na przesilenie gabinetowe. Pozycya pana Koerbera mocno już była zachwianą i to z winy niemieckich ziomków jego. Chodziło o nowy uniwersytet czeski dla Morawy. Niemcy w swej bucie żądali w komisyi budżetowej, aby uniwersytet ten zepchnięto do jakiego z małych miasteczek morawskich, Czesi o tem ani słuchać nie chcieli. Spór przybrał taki charakter, iż zakwestyonował cały budżet, a tem samem dalszą egzystencyą ministerstwa. W ostatniej jednakże chwili powiodło się panu Koerberowi zażegnać go jakoś, tak że pewnie przez chwilę jeszcze pobędzie na stanowisku. Niemcy usiłowali także obalić pozycyą subwencyi dla polskiego gimnazyum w Cieszynie, ale i ten zamiar rozbił się o solidarność posłów słowiańskich. Brutalność i zarozumiałość niemiecka zajaśniała jednakże i w obu tych wypadkach w całej swej nagości.

Nad rządami *serbskiego* króla *Aleksandra* zawisła czarna chmura. Wieczny pretendent do tronu serbskiego książę Piotr *Karageorgiewicz* wydał do narodu serbskiego manifest, w którym go wzywa, ażeby uroczyście obchodził przypadającą na rok bieżący rocznicę wypędzenia Turków z Serbii przez pradziada jego, „*Czarnego Jerzego.*“ Książę ofiarował na ten cel z własnej kieszeni 50000 fr. Manifest jego wywołał w kraju wielkie wrażenie, i kto wie, czy do reszty nie zbuntuje ludności przeciwko dynastyi Obrenowiczów, której ostatni potomek, obecny król *Aleksander* tak smutną odgrywa rolę — a nadto, podobno i potomstwa spodziewać się nie może.

W parlamencie niemieckim toczyły się w ubiegłym tygodniu rozprawy nad wnioskiem stronnictwa *Centrum*, żądającym większej swobody dla katolików w Niemczech, mianowicie w protestanckich państwach *Saksonii, Brunświku, Meklemburgii.* Równocześnie żądał wniosek Centrowy wyjaśnienia, dlaczego rząd nie spełnił jeszcze trzykrotnego żądania parlamentu i nie zniósł zupełnie ustawy, zabraniającej *OO. Jezuitom* pobytu w Niemczech? Kanclerz hr. *Bülow* nie przybył wcale na to posiedzenie. Zastępujący go zaś sekretarz stanu hr. *Posadowsky* dał odpowiedź wymijającą. Była ona tak dwuznaczną, że niektóre organa tak ją sobie tłomaczą: rząd ostatecznie pozwoliłby wrócić OO. Jezuitom, ale tylko w takim razie, jeźli Centrum poprze całą siłą nową taryfę celną. Jeźli rzeczywiście oświadczenie rządu taki miało „sens“ — to ciekawa rzecz, jak Centrum postąpi? Nas cieszy mianowicie to, że z tej sposobności skorzystali posłowie *polscy* pp. *Chrzanowski i Komierowski* i stawili następujący wniosek:

„Parlament zechce uchwalić:

„*Wbrew woli rodziców lub opiekunów nie wolno także zmuszać dziecka do uczestniczenia w nauce religii, nie udzielanej w języku ojczystym. O języku ojczystym dziecka decydują rodzice i opiekunowie.*“

Wniosek ten przyjdzie pod obrady razem z drugiem czytaniem wniosku Centrowego. Ciekawiśmy, jakim będzie los jego, jakie mianowicie stanowisko zajmie względem niego *stronnictwo Centrum.*

W sprawie Ojców Jezuitów przemawiał z Koła polskiego z zwykłą swadą poseł książę *Radziwiłł.* O. K.

## Przegląd prasy.

Poznańskie „Towarzystwo Starych przemysłowców“ oraz „Korporacya kupiecka“ uchwaliły ze względu na ciężkie nasze położenie w tym roku nie urządzać zabaw publicznych w karnawale. Myśl tę pochwalił pewien obywatel w jednem z pism poznańskich i zachęcił inne towarzystwa do naśladownictwa. Na to odpowiada **„Lech“** co następuje:

„Naszem zdaniem — krok ten nie jest godzien naśladowaaia.

„Czyliż żyjemy w czasach żałoby narodowej, która tak przykrywałaby dusze kirem, iż zabawy publiczne nie licowałyby z godnością narodową nie odpowiadały naturalnej potrzebie? Bynajmniej.

„Wprawdzie czasy są smutne, bardzo smutne, stosunki ekonomicze opłakane, nieprzyjaciele nasi sprzysięgli się na zagładę polskości, ale to nie nowe gromy, spadające na nasze głowy. Oswoiliśmy się z tem, nie oddajemy się więc niewczesnej żałobie lub jeremiadom, odpychamy od siebie przygnębienie jako zabijające energię, krzepimy się w duchu.

„Niepodobno zabraniać ludziom, aby bawili się, jeżeli jest to naturalnym popędem właściwym wszystkim ludziom w jakiejbądź mieszkają strefie. Jeżeli nie będzie przyzwoitych zabaw publicznych, wielu będzie szukało kompensaty za to przy zielonym stoliku lub... w Kaisergartenie.

„Że zabawy powinny być skromne, bez drogich tualet itd., że nie powinniśmy urządzać zabaw zbyt wiele są to rzeczy tak oczywiste, takie komunały, że zbytecznie je powtarzać na łamach poważnego organu.

„Gdyby istotnie inne Towarzystwa poszły w ślady Tow. starego Przemysłu, wyniklaby stąd dotkliwa ujma dla naszego handlu. Straciliby na tem krawcowa, krawiec, rękawicznik, szewc, właściciel sali, restaurator itd. a więc ten polski handel, którego celem, racyą bytu jest zaspokojanie potrzeb na takie okoliczności i którzy swój byt na tem zasadzą. A pieniądze, które nie przeszłyby w ręce tych kupców polskich, utonęłyby zapewne w Kaisergartenie.

„Dalej zważyć należy, że nasze życie towarzyskie zamiera coraz więcej, gromady rozbijają się na kółka i kółeczka, co pociąga za sobą pewien rozbrat, brak sposobności do bliższego poznania się, do wymiany myśli, tak, że nawet życie społeczne cierpi na tem dotkliwie.“

**„Dziennik Berlinski“** omawia projektowaną przez rząd kolonizacyą miejską, przyczem wytyka prasie liberalno-żydowskiej zwłaszcza „*Berl. Tageblattowi,*“ iż z takim „zapałem“ projekt ten popiera. Jest to niewdzięcznością względem ludności polskiej — bo — jak pisze tenże „Dziennik“:

„Ludność polska wobec żydów niemieckich zachowywała się zawsze nader wolnomyślnie. Z ludności polskiej żydzi niemieccy w Poznańskiem mieli utrzymanie. Handlarze zboża, bydła, drzewa i t. d. porobili majątki na stosunkach ze szlachtą polską; handlując tylko z niemieckimi ziemianami, pomiędzy którymi mało mieli klientów, nie byliby tak porośli w piórka, że nierzadko stawali się milionerami. Takich zbogaconych w Księstwie żydów wszakże dużo mieszka w Berlinie! A bławatnicy, węglarze, destylatorzy itd., prowadzący handel cząstkowy, czyż nie zbogacili się na stosunkach z chłopem polskim?

„Prawda, że w ostatnich dwóch dziesiątkach lat ubiegłego stulecia coraz więcej powstawało interesów polskich, coraz więcej ustępować musieli żydzi. Ale przecież każdy znawca stosunków w Księstwie wie, że i podziś dzień znaczna część ludności polskiej, może połowa, zaspakaja swe potrzeby w składach żydowskich, *nawet* tam, gdzie *równie* dobrze i niedrożej zakupywać może w składach rodaków. Lud polski jest nader zachowawczy; przez wieki żydzi mieli w Polsce handel drobny w ręku, i stąd przyzwyczajono się do stosunków z nimi tak, że za coś dziwacznego niemal uważał lud kupowanie u nieżydów. Pomijając mniejszą rzutność naogół kupców chrześciańskich, co im utrudnia współzawodnictwo z wytrawnymi kupcami żydami, pomijając mniejszą umiejętność obchodzenia się z publicznością, faktem jest przecie, że od chrześcianina wymaga wielu i podziś dzień jeszcze, ażeby towar dawał taniej od żyda. Inaczej usłyszy nieraz: no, za te pieniądze przecież i u żyda dostanę. Lud w znacznej części lgnie jeszcze do żydów — a „*B. T.*“ *jadem obrzuca Polaków!* Czyż przez to inne przygotowuje powoli zmiany, nie szkodzi swym współwyznawcom?!“

Zdaje się, *że między ludnością polską krążą agenci prowokacyjni wrogów naszych* i że podburzają lud do *gwałtów.* Oto co czytamy w **„Gazecie Grudziądzkiej“**:

„Z Brodnicy doniesiono nam wczoraj, iż przed tygodniem napadli robotnicy na posterunek, stojący przed majorem, i sponiewierali go. W tych zaś dniach postanowili wznieść z żołnierzami załogi wojnę na zabój i znów kogoś sponiewierali. Z innej strony dowiedzieliśmy się również o wrzeniu między ludźmi i pogróżkach. Pragnąc gorąco dobra naszego ludu polskiego jako i sprawy naszej polskiej, w osobnej odezwie wy-

słanej do Brodnicy i okolicy, *nawołujemy naszych do rozsądku i spokoju.* Wszak byłaby to woda na młyn polakożerców, gdyby mogli wytknąć nam jakiś niby „bunt“ polski, może krwawo go stłumić i domagać się tem ostrzejszych praw przeciw nam Polakom. Tu zaś jeszcze raz gorąco ostrzegamy cały lud polski, aby się nie zapominał i nie robił żadnych awantur, przez które możnaby gorzkie na nas prowadzić nieszczęście. Wszyscy zaś ludzie dobrej woli niechaj powstrzymują gorętszych od nierozważnych czynów i ostrzegają ich od *wdawania się z ludźmi*, którzy może w złym zamiarze podbechtywać ich gotowi, i dla rozognienia może nawet częstują w oberżach.“

I my ostrzegamy lud nasz przed gwałtami, a przedewszystkiem przed tymi, którzyby ich do gwałtów namawiali.

Zaznaczyliśmy już w poprzednim naszym przeglądzie „z tygodnia“ jaką to niedźwiedzią przysługę oddało centrum Kołu polskiemu przy obradach nad kwestyą ważności mandatu posła *Siega* z Prus Zachodnich. Sądziliśmy, że prasa nasza skorzysta z tej sposobności, aby wypowiedzieć „szanownym sprzymierzencom“ kilka słów prawdy. Zawiedliśmy się jednakże. Prasa nasza i to zbyła milczeniem. Jedynie **„Dziennik Kuj.“** odczuł to wraz z nami i takie z powodu tego wypowiada uwagi:

„To zachowanie się partyi niemiecko-katolickiej było dla posłów polskich *niemiłą niespodzianką.* Mimo, że wywodom referenta posła Czarlińskiego nie można było odmówić słuszności i w świetle tychże wybór posła Siega okazuję się istotnie nieprawidłowym, na wniosek posła centrowego *Spahna* poraz wtóry przekazano sprawę tę komisyi, co się równa odesłaniu do kalendarza greckiego... Gdyby katolicy niemieccy poparli Polaków, unieważnienie wyboru pana Siega było-by zapewnionem, bo wolnomyślni i socyaliści głosowali-by w tym duchu. *Centrum opuściło Polaków,* pomimo że na tem samem zebraniu Koło polskie poparło żywo centrum, gdy domagało się unieważnienia wyboru posła Boltza.

„Koło polskie wobec centrum jest tak małem ciałem, że nie może w takich wypadkach w myśl tendencyi *do ut des* wchodzić w kompromis i popierać go przeciw mandatowi pana Boltza w zamian za poparcie przeciwko mandatowi wojowniczego hakatysty p. Siega, lecz odebraną lekcyę powinno wziąść sobie do serca i dać to odczuć centrowcom, jeżeli nie chce narazić się na zarzut, że wysługuje się centrowcom bezinteresownie, i chodzi tylko pod okiem centrum niby pupil pod okiem mentora, jeżeli nie chce posłyszeć nic o braku samodzielności polskiej.“

*„Dziennik Kuj.“* podziela wogóle nasze zapatrywania na stosunek Polaków do centrum i uważa stosunek ten za bardzo dla nas *upokarzający.*

**„Kuryer Poznański“** zajmuje się jeszcze obszernie sprawą rozruchów ulicznych we *Lwowie.* Przypisując im większe znaczenie, niż mają rzeczywiście dla ukształtowania się losów naszych, „Kuryer“ taką wypowiada *przestrogę:*

„Gdy dziś stoimy na pierwszym posterunku narodowym, winniśmy podwoić straże naszego obozu.

„Na zewnątrz na zachód stoją one u nas coraz silniej, teraz na zgubne prądy z wewnątrz podwoić baczność należy.

„Nie dość, że wybryki galicyjskie najostrzejszą powitamy krytyką, nie dość okrzyków oburzenia, które słyszymy u nas na podłe agitacye i zbrodnicze zamachy, kompromitujące nas w obec całego świata. Nie dość na tem wszystkiem.

„Myśmy powinni pamiętać, że choć u nas społeczeństwo zdrowe, choć jedynie w pracy widzi pomyślny rozwój narodu, to jednak zaraźliwa choroba i najzdrowszemu organizmowi może być niebezpieczną. Więc czy prasa, czy związki, czy poszczególni obywatele, każdy w miarę swego wpływu i zdolności powinien bacznie czuwać, by każden z tych zarazków, któreby się do nas przedostać mogły, natychmiast, bezwzględnie i z jak największą energią był stłumionym w samym zarodku.

„Nam tu chodzi o życie, chodzi o to, by nie został spaczonym piękny całokształt naszej pracy narodowej na zachodzie, więc w obronie tego świętego naszego skarbu winniśmy żadnemi względami, żadną słabością lub wahaniem się nie powodować, lecz wroga z wewnątrz uważać za conajmniej równie dla nas niebezpiecznego jak otwartego nieprzyjaciela z zewnątrz.“

O aresztowanym tak nagle redaktorze *„Górnoślązka“* panu *Korfantym* pisze **„Goniec Wielkopolski“:**

„Ponieważ pan Wojciech Korfanty, jako syn ludu górnośląskiego, całą duszą zajął się narodową agitacyą na Górnym Slązku i ani myślał, żeby dla 4 miesięcy więzienia uchodzić za granicę i sobie na zawsze zamknąć drogę do swej rodzinnej ziemicy, a przez to odsunąć się od zadania, które on sobie z góry nakreślił i — które niezawodnie wypełni jego życie, to niezrozumiałem jest, dlaczego sąd okazał taką gorliwość, poznawszy jego prawy charakter. Korfantemu stała się krzywda, bo pozbawiając go wolności, *przeszkodzono mu w założeniu rewizyi wyroku.* Miesiące trwa, nim sąd rzeszy uzna, czy wniosek o rewizyę wyroku przyjąć lub odrzucić. Wobec kary 4 miesięcy nie zechce zatem p. Korfanty czekać teraz w śledztwie rewizyi, bo śledztwo dłużej by trwało od zawyrokowanej kary.

„Swietną była obrona pana Korfantego; trybunał i prokurator sam przyznali, że oskarżony pisał artykuły inkryminowane z wewnętrznego przekonania, opierając swoje twierdzenia i skargi w artykułach na rzeczywistych zdarzeniach i własnem doświadczeniu. A jednakowoż spotkała go taka ciężka kara; jak to być może?“ —

Serdecznie wdzięczni jesteśmy tak „Górnośląz.“ jak i *„Kuryerowi Pozn.“* oraz *„Wielkopol.“* za współczucie, okazane oskarzonemu. Odbija ono pięknie od pełnego zawiści i osobistej niechęci stanowiska rozmaitych poważnych i „niepoważnych“ organów, ktore ten wypadek zbyły krótką wzmianką pod wiadomościami *potocznemi.*

Na powtarzane bezustanne a w swej kłamliwości wręcz wstrętne twierdzenia prasy niemieckiej o rzekomych dobrodziejstwach, jakie wpłynęły na „półdzikie rzekomo przed stu laty dzielnice polskie z ręki rządu pruskiego“ — daje **„Wielkopolanin“** następującą trafną odprawę:

„Niemcy zapomnieli, że tak zwany przez nich „dziki stan“ prowincyi polskich, gdy je zabierali, stan pewnego opuszczenia i zacofania kulturalnego, był przejściowym wynikiem długotrwałych wojen, zamieszek krajowych i wstrząśnień wywołanych słabością naszą w czasie „choroby przedrozbiorowej“, ale że rdzeń narodu był zdrowym. Pamiętać trzeba, że poprzednio stan oświaty ludowej w Polsce bynajmniej nie był niższym od niemieckiego, że nawet przemysł w Polsce, podstawa stanu średniego, istniał kiedyś równie stosunkowo silny, co gdzieindziej, że więc wyniszczenie kraju i zubożenie widoczne w początku wieku, nie było stanem odwiecznym — w Niemczech po wojnie 30-letniej podobnie wyglądało, jak u nas sto lat temu.

„Rdzień narodu, lud polski, *był zdrowym,* gdy sobie Prusacy zabierali prowincye polskie. Mogli przez dłuższy czas powstrzymywać i stłumiać rozwój uświadomienia narodowego zapomocą politycznych zarządzeń. Ale lud niemiecki przeciwko ludowi polskiemu, jak się okazało, nie mógł być użytym za narzędzie wynaradawienia, bo okazał się częstokroć *mniej inteligentnym!* Pozostała więc tylko praca urzędników. Przeciwko niej dość silnym oporem była polska inteligencya, powoli wciągająca w zakres pracy ochronnej siły ludowe.

„I dziś w każdym zakątku kraju dość jest oświeconych i uświadomionych narodowo sił ludowych, by prowadzić walkę przeciw naporowi germanizmu. Hakatyści nawołujący do ostatniej walki przeciw „agitacyi“ duchowieństwa, omylą się, choćby zdołali skrępować duchowieństwo w spełnianiu obywatelskich prac, *spotkają się z silnemi zastępami ludowemi. I walkę będą musieli staczać z całym narodem.*“

Pan *Gossler* były minister oświaty a obecnie naczelny prezes Prus Zachodnich, użył nawet tegorocznych uroczystości królewskich *urodzin,* aby przy uczcie zagrzać *Niemców do wojny przeciw Polakom.* Na to odpowiada trafnie **„Gazeta Gdańska:“**

„W prowincyi, która zostaje pod urzędowaniem p. Gosslera, *żąda* się od urzędników *Polaków,* aby na ucztę w uroczystość królewskich urodzin przybyli. Osoby prywatne zaprasza się na nie. Czy od oficerów rezerwy i landwery, Polaków, których przybycie na ucztę uważa się jako obowiązek samo się przez się rozumiejący i czy od tych wszystkich urzędników Polaków i osób prywatnych, którzy nie chcą wszystkich mostów z Niemcami zrywać, wymaga p. Gossler, aby przybywszy, pozwolili się przez niego policzkować — stojąco i w milczeniu?

„Każdemu gościowi należy się szacunek! Polacy pod pruskiem berłem są więc z pod względów wyzuci, które szanują i *barbarzyńskie narody!*“

Na zakończenie przytaczamy jeszcze ciekawy głos *niemiecki o Niemcach.* Autorem jego jest niejaki pan *Wigandt,* pod-

różnik. Pisze on w piśmie „Die Zeit“ o narodowych „przymiotach“ swych „landsmanów“ co następuje:

„Po raz pierwszy — opowiada — nabrałem wątpliwości o wyższości niemieckiej, gdy począłem porównywać sposób ubierania się niemiecki z francuzkim lub angielskim. Niemcy potrzeby utrzymywania w czystości włosów prawie nie znają i wogóle potrzeba czystości jest u Niemców słabo rozwiniętą. Niemca można zawsze poznać po wyglądzie zewnętrznym, zupełnie pozbawionym smaku i cienia elegancyi.

„Niemiec irytuje się często na obcych, którzy w sklepach i lokalach publicznych nie zdejmują z głowy kapeluszy. W gruncie rzeczy jednak maniery niemieckie są tego rodzaju, że — cywilizowany człowiek na ich widok za boki się brać musi ze śmiechu. Niemieckie zdejmowanie kapeluszy, niemieckie ukłony wzajemne, to cząstka owej *natury lokajskiej, którą się Niemcom słusznie zarzuca.* Anglik posiada ruchy trochę ciężkie w porównaniu z Francuzem, uosobieniem gracyi, obaj są jednak znacznie naturalniejsi od Niemca, którego typem jest wijący się w ukłonach nonszalancki lieutenant. A zwyczaje burszów niemieckich komuż nie są znane? Szowiniści przedstawiają je, jako wybuchy nadmiaru sił młodości, podczas gdy „w istocie są one tylko manifestacyami niewygasłych pozostałości prymitywnego barbarzyństwa.“ A są na to dowody także na innych polach życia.

„Podobne pretensye indywidualistyczne stoją w rażącej sprzeczności z zwyczajnym serwilizmem Niemca, *święcącym w klasie urzędniczej najpiękniejsze swe orgie.*

„Za bytności w Anglii — opowiada autor — gdym przywykł do dżentelmańskiego zachowania się Anglika, zaszedłem do konsulatu niemieckiego z interesem i miałem sposobność być traktowanym przez małego urzędniczka w sposób godny koszar, gdy za chwilę ten sam urzędniczek wobec wyższego rangą przybierał miny i pozycye tresowanego zwierzątka czworonożnego. Jestem przekonany — twierdzi p. Wigand — że ów defekt charakteru Niemców (płaszczenie się wobec wyższych a brutalizowanie niższych — tak nazywa ich właściwość Wigand jak Sienkiewicz w swej znanej odezwie) jest jeszcze nienależycie ocenionym nawet przez większość Niemców, którzy zdają sobie sprawę jak zawstydzającem jest to zjawisko. Niemcom wogóle brak zmysłu dla obchodzenia się bez opieki. Widać to już w szkole. Wielu niemieckich nauczycieli w szkołach wyższych upodobało sobie rolę odbywającego szkołę oficera. A Niemcy są ojczyzną... karyerowiczów. Można bez najmniejszej przesady twierdzić, że nasze wyższe szkoły są prawdziwemi instytucyami dla hodowania karyerowiczostwa.

„Wreszcie ilustruje Wigand brutalny rys w charakterze niemieckim mnóstwem przykładów z życia ludu i studentów. *Zamiłowanie do cudzej własności gra w rejestrze cech narodowych Niemca niemałą rolę,* dalej zwyczaj przymusu upijania się, a kwalifikacya moralna Niemca zaznacza się już w jego słowniku. Posiada on wyraz nieznany innym ludom: schaden froh. „Radość z cudzej szkody należy wraz z służalczością i pasyą denuncyowania do najwybitniejszych defektów niemieckiej duszy narodowej.“

„Taki obraz niemieckiego charakteru narodowego skreślił Niemiec. Czy mu rodacy za ten portret będą wdzięczni — to kwestya, ale to pewna, że wyszłoby im na dobre, gdyby przyjrzeli się mu dokładnie.“

*B. M.*

# *Głosy od przyjaciół.*

*Z prowincyi.*

Dla Matki Polki jest Jezus *prawdziwie Polakiem* i chce być *rzeczywiście Polakiem*, mówi do niej *wyraźnie po polsku* i chce i żąda, ażeby słudzy Jego naukę, którą nam przyniósł, głosili *wszystkim w języku ojczystym.*

Twierdzenie to moje nie zdolen nikt a nikt zachwiać, choćby nawet posiadał rozum samego Salomona, choćby miał wymowę najpiękniejszą i najkwietciwszą z wszystkich mówców, czy parlamentu, czy sejmu, czy oratorów starożytnych, a choćby nawet anioł z nieba zstąpił i chciał zbić to moje twierdzenie, to mu otwarcie powiem: „kłamiesz,“ bo to nie moje słowa, lecz słowa najwyższej instancyi, to słowa Boże, słowa pisma świętego.

W dziejach apostolskich w rozdz. II. w 1—11 czytamy wyraźnie:

„Gdy się spełniały dni Pięćdziesiętnicy, byli wszyscy wespółek na temże miejscu. I stał się z prędka z nieba szum, jakoby przypadającego wiatru gwałtownego, i napełnił wszystek dom, gdzie siedzieli. I ukazały im się rozdzielone języki, jakoby ognia, i usiadł na każdym z nich z osobna. I napełnieni byli wszyscy Duchem świętym i poczęli mówić *rozmaitemi językami, jako im Duch święty wymawiać dawał.* A byli w Jeruzalem mieszkający Żydowie, mężowie nabożni, *ze wszego narodu, który jest pod niebem.* A gdy się stał ten głos, zbliżało się mnóstwo i strwożyło się na myśli, *że każdy słyszał je swym językiem mówiące.*. A zdumiewali się wszyscy i dziwowali, mówiąc: Iżali, oto, ci wszyscy, którzy mówią, nie są Galilejczycy? a jakożeśmy słyszeli *każdy z nas swój język*, w którymeśmy się urodzili? Partowie i Medowie i Elamitowie i mieszkający w Mezopotanii, w Żydowskiej z innemi i w Kapedocyi, w Poncie i Azyi, w Frygii i w Pamfilii, w Egipcie i w stronach Libii, która jest podle Cyreny, i przychodniowie Rzymscy, Żydowie też nowonawróceni, Kreteńczycy i Arabczycy, słyszeliśmy je *mówiące językami naszymi* wielmożne sprawy Boże.“

Wobec tego faktu, co mówię, niech mi Bóg przebaczy, wobec tego cudu, który tak wyraźnie, tak dobitnie wszystkim wskazuje wolę Bożą, *by religii nauczano w języku ojczystym*, któż jeszcze ośmieli się szydzić, naigrawać się z prostych, a prawdziwie szczerych, ze serca uczciwego, na wskroś chrześciańskiego pochodzących słów Matki Polki, że Pan Jezus do niej przemawia po polsku, a tymczasem do matki Niemki po niemiecku, jednem słowem do każdego w jego ojczystym języku? — Któż dalej ośmieli się popierać dążności, które chcą wyrugować język ojczysty nawet z lekcyi religii? — O! niech się nie boją Polaków! — Niech się boją Tego, którego jedynie bać się chcieć wygłaszają, niech się boją *Boga*, który nie rychliwy, ale *sprawiedliwy.*

*Ks. Ks.*

* * *

*Greppin,* — Bitterfeld, 23. I. 1902.

W przeszłą niedzielę obchodziło Tow. „Sobieski“ w Bitterfeld swą rocznicę, w której wzięły udział wszystkie sąsiednie Towarzystwa, oraz dwóch delegatów z Towarzystwa „Orzeł“ z Halli.

Przemawiało na uroczystości tej aż siedmiu mówców, którzy nawoływali uczestników do pielęgnowania naszej mowy ojczystej, do uczenia polskiego czytania i pisania dzieci swych, oraz do czytania i rozszerzania pism polskich. W tej sprawie przemawiał obszernie pan Gabryś z Holzweissig. Oby Bóg dał, aby mowa jego osiągnęła skutek. Mówca omawiał przykre bardzo położenie naszych redaktorów: na jakie niebezpieczeństwa są wystawieni (na straty procesy, więzienia,) przyczem polecał najbardziej „Pracę“ jako najtańsze pismo, a dla nas najbardziej korzystne. Pięciu redaktorów „Pracy“ cierpi dla spraw naszych w więzieniu, ztąd powstają dla wydawnictwa ogromne straty materyalne, to też powinniśmy popierać „Pracę“ na każdym kroku.

W sprawie opieki duchownej przemawiał pan Szyszkowiak z Bitterfeldu. Mówca takie wrażenie sprawił na słuchaczach, że na całej sali cisza zapanowała taka, że nawet brzęczenie muszki usłyszeć by było można. Mówił także o tem, czego my, tak dawno przebywając w parafii Bitterfeldzkiej, nie doznali, a teraz naraz jakby piorun z pogodnego nieba, wali się na nas „germanizacya z ambony. „W przeszłą niedzielę — mówił mówca — ogłosił nam ksiądz wikary z ambony, iż wywiedział się, że tylko 10 dzieci umie po polsku czytać; jest to niczem wobec takiej ogromnej liczby katolików, to też byłoby najlepiej, aby Ci, co abonują gazety polskie, zaprzestali je brać, a zapisali sobie gazetę niemiecką, bo przyjdzie to wam taniej, a potem nauczą się dzieci wasze przynajmniej jednej mowy lepiej. Przypada to ciężko dzieciom jeżeli w szkole się uczą po niemiecku, a w domu każecie im się po polsku uczyć, po co to, kiedy to wcale nie potrzebne? Mam nadzieję, iż porzucicie gazety polskie, a zapiszecie sobie wszyscy „Christliche Familie“, która wam przyjdzie o wiele taniej“. W inną niedzielę to znów zapowiadał kapelan, iż po południu będzie „Nachmittagsandacht“ potem nauka dla dzieci, na którą to naukę powinni też wszyscy rodzice przybyć, aby się prędzej nauczyli po niemiecku i mogli dzieciom swoim pomagać w nauce niemieckiej. Co na to mówca odpowiedział nie potrzeba z pewnością opisywać, naturalnie nie pogłaskał germanizatorów, ale potępiał i protestował przeciw niesprawiedliwości, i widać było, że cała sala była

wzruszona i żywo oklaskiwała słowa mówcy.

Dochód ze składek na kościół wynosi przeszło 4000 marek, dlaczego nie ma pomiędzy składkującymi ani jednego Niemca? Tak! polskie pieniądze to dobre, ale Polaków, polski śpiew, polski pacierz, to staracie się wytępić. „Było to na naszem zebraniu — mówił mówca — w maju, na które przyszedł ks. wikary i też mówił o śpiewie polskim, że czasem ten śpiew to tak nieładnie brzmi, że okropnie (manchesmal hört sich das abschäulich). I nie długo trwało, bo w niedzielę później, wychodzi z konfesyonału i zakazuje śpiewać, mówi, że mu to przeszkadza przy spowiedzi. To też wtedy się słusznie nasi oburzyli i powiedzieli: kiedy nie mogą w kościele polskiej pieśni znieść, niechże i polskie pieniądze im się nie podobają! W przeszłą niedzielę też powiedział wikary z ambony, iż chociaż byli tacy, co buntowali, aby niedawać na kościół, to swoją buntacyą nic nie zrobili. Ale teraz, księże wikary, kiedyś nam otwarł tę drogę do agitacyi, powziąłeś wstręt do wszystkiego, co polskie, to my się starać będziemy, by te kilka tysięcy marek nie były przyczyną do germanizacyi w kościele, ale służyły nam do większej oświaty, i to takim sposobem, że za te pieniądze będziemy utrzymywać gazety polskie i szerzyć najbardziej te, które tobie księże są solą w oku, tj. „Pracę“ i „Górnoślązaką“.

Jeszcze przypomniał mówca mowę ks. wikarego wypowiedzianą na rocznicy „św. Barbary“ w Bitterfeld. Ks. wikary mówił o mniej wartościwych... iż chociaż w kościele, to się już nie tak zachowują, jak na katolika przystoi, to kaszlą, to tabakę zażywają. „Das kommt bei uns Deutschen garnicht vor.“

Dzieje się nam tutaj wielka krzywda. My Polacy tworzymy całą parafią, już przed 4 laty liczyliśmy 3000 dusz. Teraz musi liczba Polaków jeszcze raz tyle wynosić, a pomiędzy nami mamy tylko garstkę Niemców-katolików. Mieliśmy wprawdzie księdza, który się nauczył doskonale polskiego języka, lecz władza kościelna go przesadziła do Westfalii, do Offentropp, gdzie, jak donosił nam, tylko jedna familia polska się znajduje. Zato nam tu przysłali dwóch księży, którzy słówka polskiego nie umieją; jeden miał się po polsku przez 6 tygodni nauczyć a tu 2 lata przeszły, a najmniejszej pociechy nie widać, czasem Ewangelią po polsku przeczyta, ale jak czyta? Człowiek prosi Boga, aby jak najprędzej skończył. A ilu tu schodzi z tego świata bez spowiedzi św.?

Polski ksiądz przybędzie tu 2 razy do roku, ale zwykle chory, i tylko na 5 dni. Jeżeli się rząda polskiego spowiednika, to zwykł ksiądz mówić: „Pójdźcie do mnie, my już obydwa będziem „fertig“, najgorzej ino raz, to potem się nauczycie, że wam będzie wszystko jedno.“

Komentarze chyba zbyteczne.

*Niezachwiany czytelnik „Pracy“ „Górnośl.“ i „Czyt. Pol.“*

* * *

*Uckendorf.*

Szanowna Redakcyo!

W święto Trzech Króli zostało w Uckendorfie założone nowe gniazdo Sokolskie dla Uckendorfu i całej okolicy ze siedzibą w Uckendorfie.

Przeszło 40 druhów zapisało się na członków. Do zarządu zostali wybrani: Stanisław Kunz jako przewodniczący, Józef Trzeciakowski, zastępca przewodniczącego, Jan Mierzyński sekretarz, Jan Skrabuski zastępca sekretarza, Franciszek Dukat jako skarbnik, Ignacy Misiak zastępca skarbnika, a ławnikami: Jakób Rogoziński, Tomaszewski i Stanisław Krawczyk I.

Naczelnikiem: Kaźmierz Robakowski, zastępcą Aleksander Konieczny.

Lokal towarzyski znajduje się u pana Tempego na ulicy Bochumskiej.

Zwracamy się więc szczególnie do młodzieży naszej nietylko w Uckendorfie, ale w całej okolicy, jak Gelsenkirchen, Bulmke, Hülm, Schalke, Rothausen, aby się z nami łączyła, aby pokazać, że pragniemy mieć jedno a dobre gniazdo. A więc Rodacy! dążcie do naszego grona i zapisujcie się na dobrych, dzielnych, ale i otwartych druhów.

Wszelkie listy tyczące się naszego Towarzystwa proszę nadsyłać na ręce prezesa lub sekretarza. Czołem!

*Stanisław Kunz*, prezes. Uckendorf, Nordstrasse 41.

*Jan Mieczyński*, sekretarz. Gelsenkirchen, Kirchstr. 11.

P. s. Zawiązał się tu Komitet, który będzie zbierał składkę na rodzinę dra Rakowskiego. Skarbnikiem jest nasz sekretarz Jan Miczyński; zrobiono już składkę w Nowy Rok u Św. Jana na zabawie. Razem pieniądze przyślemy.

*S. K. Z.*

# Pijany nędzarz.

Miód nam szumi po głowie,
Gwarzy cała gromada,
Ja jeden nic nie mówię,
I ze mną nikt nie gada.

Ej, nie moja to wina!
U nich inne koleje,
Jeden przeszłość wspomina,
Drugi przyszłe nadzieje.

A ja? jakież im słowa
Moja dusza wystęka?
Moja przeszłość to męka,
To korona cierniowa.

Przyszłość? — skryta dla oka,
Lecz któż ulży me bole?
Ej, nie trzeba proroka,
By nie zgadnąć niedolę!

Moja chatka w dolinie,
Przy szumiącem jeziorze;
Wiosną woda przypłynie
I mnie chatkę zabierze.

Ludzie cieszą się wiosną,
A mnie ciepło jej szkodzi;
Zmięszam skargę żałosną
Z dzikim szumem powodzi!

Pójdę kryć się na górze
Pod gałęzie dębowe;
Latem gromy i burze
Potrzaskają mi głowę.

Kiedy inni na polu
Miłym znoją się potem,
Będę musiał ryk bolu
Mięszać z gromu łoskotem.

W jesień szarą i ciemną
Chmury deszczem wytrysną,
Czarne myśli nademną
Tumanami powisną.

Ludziom wtedy dni sute,
Piją wino, miód, mleko;
Mnie łzy gorzkie zatrute,
Rzęsnym deszczem pocieką.

W zimie każdy swobodnie,
Każdy żyje gromadnie,
Każdy w wieczór i do dnia
Ciepły ogień nakładnie.

Ja bez domu, bez rodu,
Bez własnego ogniska,
Mróz mi członki pościska,
Skonam z głodu i chłodu!

Grabarz rąbiąc nad siłę
Ziemię twardą i skrzepłą,
Przeklnie moją mogiłę,
Żem nie umarł, gdy ciepło.

Nikt za duszę czyścową
Nie da na mszę, na bożą;
Nawet cegły pod głowę
W domowinę nie włożą.

Czyż kto po mnie zagłosi?
Ej, nie dla mnie łzy czyje!
Deszcz mogiłę porosi,
Wiatr z westchnieniem zawyje.

Ostry wiater z północy
Śniegiem grób mój zamiecie;
Ot i pogrzeb sierocy!
Ot i życie na świecie!

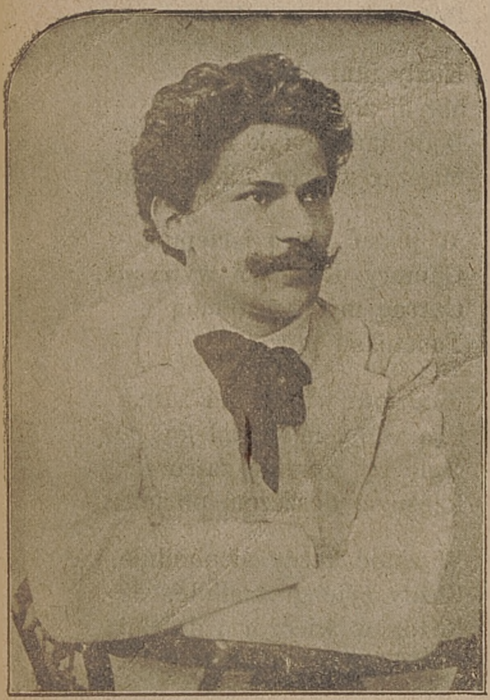
*W. Syrokomla.*

# Jan Szczepanik.

Po niesłychanie trudnych staraniach, po stracie całego roku, został nareszcie słynny wynalazca Jan Szczepanik przeniesiony jako szeregowiec z Przemyśla do Wiednia. Przydzielono go do sztabu generalnego i pozwolono mu pracować we własnem atelier.

W gmachu, który dawniej zajmowało wielkie towarzystwo „Wiener Mol-

kerci“ przy Pragerstr. l. 6, mieści się na parterze i na I. piętrze wielka fabryka, popędzana maszyną parową o sile 40 koni — zatrudniona wyrobem prezycyjnych modeli do wypróbowania wynalazków, pracownia fotograficzna, warsztaty tkackie itd. Fabryka ta jest



Jan Szczepanik.

własnością „Societé des Inventions Jan Szczepanik & Cie, której handlowym dyrektorem jest p. Ludwik Kleinberg. Trzecim spólnikiem Szczepanika jest inżynier architekt Habrich. W pracowni zatrudnieni są prawie sami Polacy.

Na pierwszem piętrze mieszczą się biura Societé, która nabywa także obce wynalazki dla wypróbowania ich lub udoskonalenia przez Szczepanika. Do takich należą: nowy samowar, pancerz jedwabny kulotrwały, nowe pługi, maszyna pisarska dla ciemnych, przyrządy oszczędzania opału przy kotłach parowych, które ogromną mają doniosłość (caloridul) i w. i.

W dwóch skrzydłach tego samego gmachu na przyziomiu na I. i II. piętrze mieszczą się warsztaty i biura rysunkowe i pierwszej jedynej na całe Austro-Węgry patronarni systemu Szczepanika, założonej przez galicyjskie Towarzystwo akcyjne, które ma siedzibę w Krakowie. Podobne patroniarnie otwarto już w Barmen i w Roubaix.

W Przemyślu Szczepanik zaręczył się w końcu zeszłego roku z uroczą panną Wandą Dzikowską, której portret obok portretu Szczepanika podajemy. *—ski.*

# PIOSNKA SIEROTY.

Oj, ubogi ja sierota,
  Na tym świecie sam!
Młynarzowe gęsi pasę,
  Na fujarce gram,
Młynarzowe gęsi pasę
  Po tej strudze w bród,
Na fujarce gram wierzbowej
  Czy mnie głód, czy chłód.

Leć-że głosie, leć po rosie
  Ty piosenko ma,
Sam Pan Jezus słucha z nieba,
  Jak sierota gra!
Sam Pan Jezus słucha z nieba,
  Z za tych złotych chmur,
Jak się echo fujareczki
  Odbija o bór.

Idzie ojciec, idzie matka
  Przez niebieski próg,
Tylko im to rajskie kwiecie
  Kłoni się do nóg.
Tylko im ta rajska zorza
  Złote szaty tka,
Tylko z oczu łzy im lecą
  Jak Jasieńko gra!

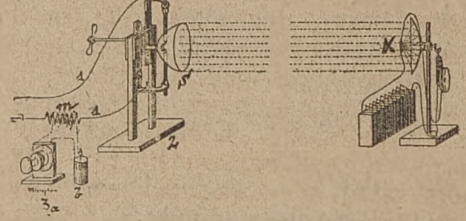
A ty ojcze, a ty matko,
  Błogosławcie mnie,
Niech-że ja też na tym świecie
  Nie zagubię się!
Niech-że ja też na tym świecie
  Jasną dolę mam,
I wesoło gąskom moim
  Na fujarce gram!

*Marya Konopnicka.*

# Telefon bez drutu i fotografofon.

Porozumiewanie się wzajemne bez materyalnego łącznika — rozmowa, wymiana myśli bezpośrednia, to dawne ponętne marzenie ludzkości!

Mowa — ten pierwszy łącznik dusz, głos ludzki nie dochodzi daleko, roz-



**I. Telefon bez drutu z pomocą mówiącej lampy łukowej.**

prasza się w przestworzu, najmniejsza przeszkoda osłabia fale powietrzne; a przecież jakby to było cudowniej, gdybyśmy rozdzieleni morzami, górami, mogli bezpośrednio doświadczyć się o siebie i mnóstwo rzeczy nas żywo obchodzących.

Dzicy, ludy pierwotne, mają tajemnicze sposoby dowiadywania się o zdarzeniach odbywających się daleko, oto np. śmierć jenerała Gordona podczas wojny w Sudanie wiadomą była w Ka-



Wanda Dzikowska.

irze tego samego dnia, mimo iż wszystkie druty telegraficzne zostały przerwane. W jaki sposób? — nie wiadomo.

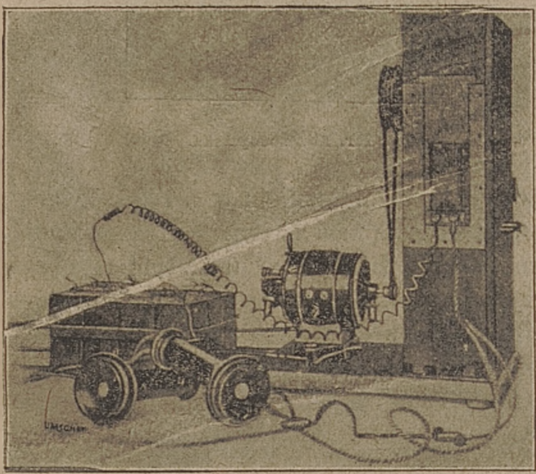
Uczeni podróżnicy w Afryce opowiadają, że zastawali w chatach krajowców zakopane w ziemi większe narzędzia, na których wykonywano umówione znaki (uderzenia w tempie) a te dochodziły podziemną drogą do daleko odległych osad. Być może, że za pośrednictwem żył kruszcowych lub strugi wody podziemnej. Potrzeba szybkiej bezpośredniej komunikacyi, zdawna istnieje wszędzie a już najbardziej odczuwaną jest w wieku pary i elektryczności. Niedawno dopiero słyszymy o telegrafowaniu bez drutu a już zjawia się jeszcze bardziej zdumiewająca nowość telefon bez drutu (I.) z pomocą mówiącej lampy łukowej.

Szemat rysunku objaśnia całą rzecz: Przewodami 11 płynie prąd z dynamomaszyn, zasilający światło lampy łukowej 2 i *S* (z reflektorem). Przy *3a* jest mikrofon, przy *b* baterya odnośna. W miejscu *m* druty bateryi służącej do mówienia, nawinięte są na przewód dla światła. Śpiew, muzyka itp. produkcye przed mikrofonem wywołują zmiany natężenia prądu bateryi, które znowu wpływają na siłę światła elektrycznego.

Lampa odpowiednio do głosu świeci mocniej lub słabiej a światło to migające z pomocą reflektora przesyłać

można na dziesiątki kilometrów odległości. Jakżeż te zmiany światła przemienia się napowrót w głos?

Oto w stacyi odbiorczej włączona jest w przewód telefoniczny zwykła blaszka selenu (*K*) (materyał zbliżony do siarki) mająca tę właściwość, że odpowiednio do światła lepiej lub gorzej przewodzi prąd elektryczny, czyli zmienia prąd w telefonie. Zmiany prądu zaś, jak wiadomo, wytwarzają fale głosowe; brzmienie nadawane z kilometrowej odległości. Głos płynie więc na promieniach światła tej lampy łukowej.



**II. Fotografofon gotowy do odtworzenia mowy** (po lewej akumulatory z telefonem).

Głos ten powstały przez zmianę światła, można nawet przechować, i do tego celu służy niedawno obmyślony zajmujący aparat: Fotografofon fotografujący głos. Rysunek (Nr. II,) przedstawia aparat służący do fotografowania zmian światła na pasku filmów; jak przy kinematografie motor mały służy dla obracania pasku zawartego w skrzyneczce w tempie jednostajnem. Chcąc z tego paska otrzymać kiedykolwiek całą mowę, śpiew itp. wkładamy go w aparat podobny do kinematografu, jaśniejsze i ciemniejsze paski, które obracane w tem samem tempie, jak były zdjęte przed blaszką selenu włączoną w aparat z telefonem, wywołują zmienne prądy i tak światło przetwarza się w głos. Rzeczywiście trudno przedstawić sobie coś bardziej zdumiewającego! Pasek papieru, z którego pomocy telefon gra, śpiewa i mówi, to co przeminęło dawno, co wyszło z dalekich a dalekich może miejsc.

*Edmund Libański.*

# Wezwanie do łaski.

Nuże pragnący do zdroja!
Nuże, łaknący do chleba!
Pociesz się, rzeszo ty moja!
Bierzcie co komu potrzeba,

Precz się frasujesz mój ludu?
W pracy niszczejesz o głodzie?
Zaniechaj smutku i trudu,
Rozraduj się mój narodzie!

Słuchaj mię: Pan cię przybierze
W zbawienia chwałę i blaski!
Z tobą uczyni przymierze,
Na ciebie zleje swe łaski!

Jeno szukajcie Go pilnie,
A Pan nie będzie z daleka,
Wzywaj Go ludu usilnie,
Póki jest blisko i czeka.

Niech się nawróci grzeszący!
Pokutny niech nie rozpacza!
Oto nasz Pan miłujący
On, co skruszonym przebacza.

Pan mówi: „Z myśli waszemi,
Wy nie równajcie dróg Boga.
Jak wyższe niebo od ziemi,
Wyższa myśl moja i droga.

Jak deszcze, gdy spadną z chmury
Na spiekłe słońcem zagony,
Krople nie wrócą do góry,
Lecz ziemię użyźnią w plony, —

Tak moje, gdy padnie słowo,
Napróżno do mnie nie wróci,
Orzeźwi suszę wiekową,
Narody świata ocuci.“

Pan mówi: „Wyjdziesz w weselu
Ludu mój wrócisz w pokoju,
Rychło ty dojdziesz do celu
Po długim bólu i znoju.“

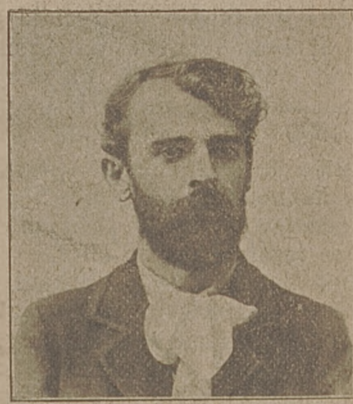
Pan cię powróci do chwały!
Błogo ci będzie i jasno,
Góry ci będą śpiewały,
Drzewa rękami poklasną.

Ciernie wyrosną na jodły
W mirt się przemienią burzany —
Ludu! do Pana wznieś modły!
Zbawi cię Pan nasz nad pany!

*Adam Pajgert,*

# Sanatoryum dla chorób piersiowych w Zakopanem.

Trzy lata minęło od chwili, gdy dr. Kazimierz Dłuski, opuściwszy Paryż, gdzie po odbyciu studyów przez cały szereg lat poświęcał się praktyce, osiadł w Galicyi, aby oddać się w zupełności pracy nad stworzeniem u nas pierwszego wzorowego sanatoryum dla osób dotkniętych gruźlicą. Podczas wakacyi przypadkowo w Zakopanem spędzonych miał on sposobność naocznie przekonać się o tem, że nasza „perła Tatrzańska“ jest wymarzoną stacyą klimatyczną. Od tej pory zaczął pracować nad tem, aby tam właśnie stworzyć pierwsze polskie sanatoryum. Po dokładnem zwiedzeniu wszystkich lepszych analogicznych zakładów zagranicznych i po dłuższym pobycie w Davos w charakterze asystenta znanego sanatoryalisty, dr. Turbana, począł dr. Dłuski pracować nad wprowadzeniem myśli swej w życie realne, gdyż własne jego mienie, które włożył w interes, stanowiło zaledwie część potrzebnego na cel ten kapitału. W krótkim czasie energia jego i zapał zjednały sprawie tej gorących zwolenników. W liczbie ich znaleźli się: Ignacy Paderewski, Henryk Sienkiewicz, Brunon Abakanowicz, hr. Konstanty Potocki etc... etc... W dniu 30 stycznia 1899 r. pierwsi ci uczestnicy wraz z dr. Dłu-



Dr. Kazimierz Dłuski.

skim założyli w Krakowie Towarzystwo udziałowe, licząc na to, że społeczeństwo polskie zechce wspólnemi siłami tak pożyteczną i naglącą sprawę urzeczywistnić. I nie zawiedli się w swych przewidywaniach, co możemy uważać za pocieszający dowód rozwoju naszego pod względem ekonomiczno-społecznym.

Sprawa zakopiańskiego sanatoryum pozyskała najpierw gorące, moralne i finansowe poparcie w świecie lekarskim Królestwa Polskiego w osobach jego najwybitniejszych przedstawicieli jak doktorów: Baranowskiego, Dunina, Sokołowskiego, Zielińskiego, Chrostowskiego etc.; następnie zaś spopularyzowała się w innych sferach. W Galicyi sprawą tą zainteresowała się przeważnie arystokracya: hr. Leon Piniński, hr. Kazimierz i Stanisław Badeniowie, ks. Eustachy Sanguszko, hr. Andrzej Potocki, hr. Adamowa Potocka, ks. Marceli Czartoryski,



Drowa Bronisława Dłuska.

ks. Eleonora Lubomirska etc. należą do liczby akcyonaryuszy. Dziś po upływie niespełna trzech lat od chwili założenia, rezultaty pracy stowarzyszenia sanatoryalnego, na czele którego stoją hr. Konstanty Potocki, prezes i hr. ord. Adam Krasiński, wiceprezes, są już imponujące.

Na stoku Gubałówki na szerokiej polanie, otoczonej ze wszech stron pięknym lasem, należącym do Stowarzyszenia, wznosi się już wspaniały gmach, który będzie mógł pomieścić do 90-ciu chorych. Przez wielkie okna, promienie

słoneczne zalewają wszystkie pokoje bez wyjątku, od strony bowiem północnej biegną tylko szerokie korytarze.

Podjazd prywatnej drogi zakładowej został urządzony od tyłu gmachu, gdzie również w prostopadle dobudowanym pawilonie umieszczono kuchnie, wielką dwupiętrową salę jadalną, oraz piękną kaplicę. Szczegóły te dobrze są uwidocznione na rycinie przedstawiającej bok modelu przyszłego sanatoryum, wykonanego umyślnie na Zjazd Krakowski lekarzy i przyrodników w 1900 roku.

Ostatnie te urządzenia sprawią, że zapachy kuchenne i kurz nie będą mogły przedostawać się do pokoi mieszkalnych i na leżalnię, gdzie chorzy większą część dnia spędzać będą. Zakład posiadać będzie kanalizacyę, wodociągi z zimną i gorącą wodą, centralne ogrzewania, elektryczne oświetlenie, kamerę desinfekcyjną, wreszcie wewnętrzne urządzenie i umeblowanie nadające się w najdrobniejszych szczegółach do radykalnej desinfekcyi.



Model sanatoryum w Zakopanem.

Jest wszelka nadzieja, że nowy zakład, potrzebę którego najlepiej oceniają chorzy nasi, zmuszeni dziś tułać się po szwajcarskich i niemieckich sanatoryach, otwartym zostanie już we wrześniu roku bieżącego. Wprawdzie kapitał zakładowy wynoszący blisko 400,000 złr. nie jest jeszcze w zupełności pokryty, brak jednak już tylko kilkadziesięciu tysięcy. Nie wątpimy, że i te pozostałe udziały szybko zostaną rozebrane, tem bardziej, że mamy mocne przekonanie, że ludzie dobrej woli, którzy pomogli dr. Dłuskiemu do urzeczywistnienia jego pięknej myśli, materyalnie nie tylko nic na tem nie stracą, lecz, że niezawodnie korzystnie pieniądze swe ulokowali. Dobrze urządzone i dobrze poprowadzone sanatoryum okaże się interesem opartym na mocnych finansowych podstawach, bo odpowiada potrzebom, gwałtownie i oddawna uczuwać się dającym.

Wreszcie nie możemy powstrzymać się, aby kończąc to sprawozdanie, nie wyrazić gorących słów uznania dr. Dłuskiemu, twórcy pierwszego polskiego sanatoryum, który nie wahał się porzucić pięknego stanowiska wyrobionego sobie zagranicą, aby pracować wśród swoich i dla swoich. Dodajmy wreszcie, że dr. Dłuskiemu w pracy jego dopomaga gorliwie małżonka jego, będąca również lekarzem, pani Bronisława Dłuska. Oby wspólne ich starania dozwoliły pierwszemu polskiemu sanatoryum otworzyć jak najprędzej swe podwoje i spełniać swe wysoce humanitarne zadanie.

*I. P.*

## Lwowski klub szermierzy.

Szermierka, ten sport najwięcej może odpowiadający naszym upodobaniom, odziedziczonym po rycerskich przodkach naszych, datuje się we Lwowie, na szerszy a racyonalny zaprawiany sposób, od r. 1891. W owym to czasie, grono młodzieży akademickiej, powołując kilkakrotnie do życia kółko szermierzy w łonie Czytelni akademickiej, założyło w końcu „Klub Szermierzy we Lwowie.“ Radę i poparcie znalazła dzielna młodzież w profesorach dr. Leonardzie Piętaku, dr. Stan. Skrzyńskim i dr. St. Szachowskim, a pierwszy Wydział Klubu tworzyli: Maryan Starzewski, Franciszek Jasiński, Stanisław Hofmokl, Wincenty Kirschner, Tadeusz Moszyński, Ernest Mentschel, Józef Prokopowicz i Tadeusz Ziemiański z dr. Janem Waygartem jako prezesem, jednym z głównych inicyatorów a duszą młodego Towarzystwa na czele. Dr. Waygart, prawdziwa chluba Klubu, piastował godność prezesa przez dwa lata, po nim zaś kolejno przewodniczyli: dr. Tadeusz Moszyński przez rok, dr. Kazimierz Moszyński przez dwa lata, dr. Emil Roiński, Justyn hr. Łoś, dr. Witold Ziembicki, Aleksander Dworski i Feliks Merunowicz, każdy przez rok.

W r. 1894 ustępuje Dreher, a miejsce nauczyciela klubowego obejmuje Jan Tychowski, który jednak wkrótce, bo już w następnym roku składa kierownictwo nauki szermierki w doświadczone ręce Karola Bernolaka, autora podręcznika dla szermierzy.

Od tego czasu poziom uprawianej szermierki widocznie się podnosi, do czego także przyczynia się w znacznej mierze udział Bernolaka, dr. Kazimierza Moszyńskiego i Janusza Onyszkiewicza



Dr. K. Moszyński.

w wiedeńskim turnieju w r. 1896. Z turnieju wracają nasi szermierze odznaczeni medalami: dr. Moszyński złotym i srebrnym, a Onyszkiewicz srebrnym. To zmięszanie się z obcymi wywołuje poczucie sił własnych i zachęca do dalszej pracy, której skutecznym wynikiem jest pierwszy turniej krajowy, urządzony w r. 1899.

W r. 1900 ponosi Klub ciężką stratę przez śmierć Bernolaka: udaje mu się jednak pozyskać znakomitą siłę nau-



Horacy Santelli.

czycielską w osobie głośnego już mistrza Horacego Santellego, który, dzięki zaletom swego charakteru z jednej, a niezrównanej szkole z drugiej strony,

podtrzymując animusz w „starej gwardyi,“ wykształca w krótkim przeciągu czasu spory zastęp młodych szermierzy przynoszących prawdziwy zaszczyt swemu mistrzowi.

Z dorocznych sprawozdań widzimy, że Klub przez cały czas swego dziesięcioletniego istnienia stale wzrastał w ilość członków i w dodatnie rezultaty swojej pracy, do czego niezawodnie przyczyniła się także zmiana statutu w r. 1896 w tym kierunku, że do klubu mogli być przyjmowani w charakterze członków wspierających także nie-akademicy. Z biegiem czasu jednak, zmiana ta wytworzyła anormalne stosunki, gdyż członkowie wspierający, jakkolwiek liczebnie silniejsi, nie mogli wywierać decydującego wpływu na czynności i rozwój Towarzystwa. To też wkrótce po odbytym w kwietniu r. b. turnieju postanowiono rozwiązać Klub dotychczasowy jako Towarzystwo akademickie a zawiązać nowy z charakterem ogólniejszym, umożliwiającym skuteczniejszą działalność.

Myśl tę bardzo prędko w czyn zdołano zamienić. Wydelegowany *ad hoc* Komitet zorganizował już nowy Klub, a z przeprowadzonych w końcu r. z. wyborów weszli następujący członkowie jego Wydziału: dr. Kazimierz Moszyński jako prezes, dr. Leonard Stahl, Feliks Merunowicz, Stanisław Solański, dr. Artur Till, Jerzy Hołodyński, Mieczysław Stańko i Tadeusz Zubrzycki; w skład komisyi szkontrującej zaś weszli: dr. Jan Waygart, dr. Ignacy Czemeryński i dr. Emil Roiński.

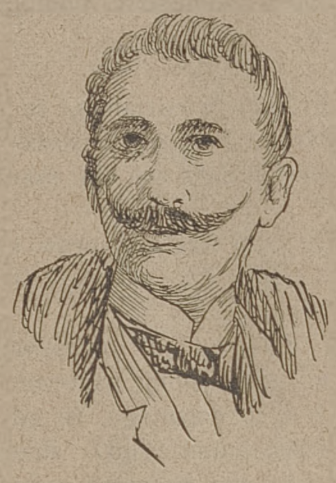
W program działalności nowego Klubu oprócz szermierki wejdą także i inne zabawy sportowe, jak lawn-tennis i piłka nożna, co niezawodnie przyczyni się bardzo do ożywienia życia towarzyskiego w sferach naszych sportsmenów.

Zadanie Wydziału nowego Klubu, w skład którego zresztą wchodzą ludzie wytrawni i celów swoich świadomi, o tyle będzie łatwiejsze, że wytkniętą już przez swoich poprzedników w dawnym Klubie ma drogę, a jego prezes, jeden z najlepszych w kraju szermierzy, potrafi zapewne, jak przed dziesięciu laty dr. Waygart, być duszą Towarzystwa. *Kłośnik.*

## Z chwili.

Józef hr. Potocki z Ukrainy, przegrał w arystokratycznej szulerni wiedeńskiej kolosalną sumę 1,180,000 koron do rąk Mikołaja Szetmerego, węgierskiego sportsmena.

Jak wiadomo, przegrana w karty należy do długów honorowych, które w przeciągu 24 godzin załatwić należy.



Józef hr. Potocki.

Wyjątkowo przy wysokich przegranych otrzymuje przegrywający umówiony termin do zapłaty. Otóż Mikołaj Szetmery ofiarował hr. Potockiemu termin 6-miesięczny do zapłaty. Tymczasem Józef



Mikołaj Szetmery.

hr. Potocki w dwa dni po przegraniu wspomnianej sumy, odesłał Szetmeremu całą kwotę odrazu w gotówce.

Nie ma co mówić — coraz to lepiej spisują się nasi wielcy karciarze.

*— ski.*

## Ś. p. „SZCZUTEK“ i jego figury.

Śmierć Liberata Zajączkowskiego przypomniała społeczeństwu o „Szczutku“, „pismie satyryczno-politycznem“, które przez długie lata było w Galicyi więcej, niż gazetą, więcej, niż ciętą i ostrą satyrą — było pewną ideą polityczną, jaśniejszą, wyraźniejszą, z większem powodzeniem czynną, niż niejedna wielka figura i instytucya polityczna.

Idea — polska, ultro-patryotyczna, federalistyczno-słowiańska, w przeciwstawieniu do polityki ugodowej Ziemiałkowskiego, była myślą przewodnią pisma, a bronią — ostry, gryzący, niemiłosierny dowcip. Zajączkowski — założyciel, redaktor, rysownik, pisarz, animus movens, a dokoła niego sztab współpracowników, których nazwiska mówią o talencie, poezyi, nieraz natchnionej: Chochlik-Zagórski, Włodzimierz Steblewski, Bol. Czerwieński... Zajączkowski robił politykę, dyrygował — oni grali, a szedł od nich ogień, który grzał i dym, który smalił, czernił, okrywał śmiesznością...

Miał Szczutek oprócz wierszy na-



„Strachajło“.

czelnych, artykułów wstępnych, nadających ton i kierunek „wielkiej polityce“, niejako armatę dużego kalibru, stałe rubryki, szereg wojsk regularnych, które



Imci Pan Onufry, obywatel lwowski.

w każdym numerze ruszały do boju z wrogami wewnętrznymi Galicyi, z błędami społecznymi kraju, zakorzenionymi narowami i złośliwymi nowotworami



„Gogo“.

na organizmie autonomiczno-społecznym. I tak Wielmożny Pan Kalasanty herbu Dobrynos, szlachcic na zagonie, mosterdzieju, w gruncie serca poczciwy i za-

cny, zawsze schylony nad gazetą, robił „wielką politykę“. gdy IMCI pan Onufry „mieszczan“ lwowski robił politykę lwowską. Wspaniały był sobie ten obywatel z Bajek, z fajeczką w ręku, który przesiadywał u Naftuły, z kumem z gubernii lub innym honornym obywatelem, gromił jenteligentów i profesorów w imieniu swojej wyższości politykarza z przedmieścia i opanowywał maistrat taj tylko.

Pierwszorzędną figurą Szczutka był Strachajło. W czasie ugody kraju z Austryą, gdy patryoci wszystkich sił dokładali, aby ugoda nie szła zadaleko i nie wystudziła uczuć narodowych — on się bał... Z włosem najeżonym, twarzą kurczowo ściągniętą, zaczynał swój monolog sakramentalnie od słów: Ja się nie boję — a oczy mu z orbit omal nie wyskakiwały... W jakim np. on był strachu, gdy nadchodził 29. listopada, obchód uroczysty smutnej rocznicy! Podług niego władza powinna była wydać rozporządzenie: Zakazuje się wymawiać „dwudziesty dziewiąty“ a poleca się mówić natomiast „fünf und zwanzig“.

„Kalendarze, oznaczające dzień, w którym przypada 29 listopada, mają być natychmiast skonfiskowane.“

„Miesiąc luty w latach nieprzestępnych awansuje na listopad, a listopad odtąd mieć będzie tylko 28 dni“.

W satyrach na różne typy społeczeństwa ówczesnego poczestne miejsce zajmował Gogo. W nieposzlakowanym cylindrze, austryackich „baczkach“ i z monoklem, reprezentował w piśmie złotą młodzież, zapełniającą wszystkie kąty, gdzie wymagało się nietyle pracy, ile protekcyi, nietyle wiedzy w głowie, ile — w nogach... Wodzirej, gracz, „chevalier“ na polu wyścigowym i w służbie Wenery. Wszak wiadomo...

Nie trza nauk, pracy, zasług!
Kto się tylko rodzi gogiem,
Ten dobije się karyery
W próżniaczeniu słodkiem, błogiem.

Wszystkie dla nas są urzędy,
Wszystkie banki tworzą dla nas —
Gorzki pracy chleb dla tłumu,
Dla nas tylko jest ananas.

Niech tam krzyczą: Ginie cnota
W koteryjnym tym przełomie!
Jak zabraknie miejsc, to stworzym
Jeszcze drugą autonomię!

a w ślad za Gogiem szły Gogątka.

Dwóch gołowąsów, szykownie, według ostatniej mody wystrojonych, jeden w cwikierze, drugi z papierosem, prowadziło w każdym numerze typowe, niewyczerpane swoje rozmowy — echo lub małpowanie gogów starszych i najstarszych.

— „Ty! wiesz, papa dał bal i to na cześć moją. Wyobraź sobie szyk... pękło szampanów z pięćdziesiąt.

— A cóż to, imieniny twoje? czy może... może egzamin zdałeś?

— Nie, ale dostałem familijne stypendyum“.

Albo

— „Ty! nie wiedziałem, że u nas tylko sześć lat jest przymusowej nauki. Pocóż nas dziesiąty rok do szkoły posyłają?

— Ha, bo u nas nikt praw nie szanuje, ja także już dziesiąty rok się uczę“.

I tak dalej i t. d. przesuwały się obrazy w galicyjskiej panoramie ówczesnej — i co dziwnego, że gdy przychodził obrachunek, gdy zbierał się sejm we Lwowie, Szczutek podawał następujący porządek dzienny i codzienny dla sejmu galicyjskiego, ułożony na całą sesyę już dawno przez komisarza austryackiego:

1. Nędza
2. Bieda
3. Głód
4. Pożyczka
5. Dodatek
6. Bank
7. Deficyt
9. Dziura w moście i
9. Szpital

Niestety, Szczutek miał racyę!

*I. P.*



# Oberek.

W karnawale rzną skrzypice,
Skoczę w taniec, dziewczę chwycę,
Chwycę dziewczę z poza stoła,
Wykręcę je dookoła!

Dokoluśka widno z nieba,
Dokoluśka bochen chleba,
Dokoluśka talar biały,
Dokoluśka — świat je cały!

Niech ta w podłuż tańczą pany,
Z izby za próg odbijany,
Na Kujawach — chwalić Boga —
Chłop nie przejdzie swego proga!

Na Kujawach, dziewczę moje,
Dzisia jedno, jutro dwoje!
Jasne słonko kołem chodzi,
Na co wejrzy, to zarodzi!

Kołem, kołem, po pod ściany,
Przez bok poła od sukmany,
Na łbie czapka, jak pół stoga,
Przy niej wstęga, że — laboga!

Kołem, kołem po pod ściany,
Trzos rzęsisto nabijany,
A we trzosie dukat prawy...
— Jak Kujawy, to Kujawy!

Dokoluśka gniazda ptasze,
Dokoluśka chaty nasze,
Dokoluśka kumy, braty,
Dokoluśka płot u chaty!

Coraz prędzej Pietr muzyka
Po skrzypicy ciągle smyka,
Coraz gibciej dziewczę gnie się,
Jak węgorek w mokrym lesie!

Na przechybkę, na przegiętkę,
Oj załowię cię na wędkę!
Na przegiętkę, na przechybkę,
Oj załowię moją rybkę!

Czasem Bieda za mną ksobie,
Lecz ja odsieb migiem drobię,
Nim się Bieda odsieb ruszy,
Ja znów w ksobie, co mam duszy!

Chce mnie Bieda za czuprynę,
To ja klęknę, to się zwinę,
To ku ziemi się przychylę,
Że nie dotknie mnie — i tyle!

N ie przychylę się daremno,
Wszędy Boża moc nade mną!
A i co mi za niewola?
Komu z pola mnie do pola!

*Marya Konopnicka.*

# Dział kobiecy.

## *Zapusty wiedeńskie.*

A czy znasz ty wiedeńskie zapusty? Znać je, rozumieć, cenić należycie, na to nie trzeba się urodzić nad modrym Dunajem... Wystarczy wsłuchać się w melodyjne tony walca niezapomnianego Straussa, polubić lekkie złotawe wino austryackie, wyrosłe na słonecznych stokach wzgórz od Kahlenbergu aż po Baden, a przedewszystkiem poznać i zżyć się z ową „Gemütlichkeit“ wiedeńską, która bądź co bądź w Wiedniu ma jeszcze swą siedzibę — w Wiedniu, nie tym politycznym i nie w śródmieściu, ale na przedmieściach. We krwi



**Na bal kostyumowy:**
Kostyum z epoki kongresu wiedeńskiego z żółtego jedwabiu z aplikacyami z różowego jedwabiu.

Wiedeńczyków płynie tyle kropel krwi słowiańskiej, włoskiej, francuskiej, nawet hiszpańskiej (wojny Napoleona i liczne kwaterunki!), że tem tłomaczy się



**Rodzaj „Alt Wien“**
(z jasnozielonej gazy z aplikacyą w formie liści).

ich, u Niemców ordynarnych i rubasznych, niezwykła wesołość, pewien polot fantazyi, umiejętność zabawy, którą Wiedeń słusznie słynie.

Jak słyszę u was w Poznaniu dość głucho, w Wiedniu zato karnawał w pełnym znajduje się ruchu. Ogólne zblazowanie — pozowanie na nudę, uchodzi dziś za kokieteryę! — znikło



**Subretka z epoki occocco:**
Spódnica z atłasu, fartuszek batystowy.

gdzieś, porwane wirem wesołości tak krótkiego karnawału.

Nawet rój najbardziej zblazowanych gogów i gogątek ocknąć się musi ze swego rzekomo wytwornego letargu, bo któż zdoła dziś, przy dzisiejszej modzie, oprzeć się urokowi smukłych, wiotkich postaci pań i panien? Nawet



**„Portugalka“**
(Staniczek i spódnica z czerwonego sukna, koszula płócienna, fartuszek z mozajką ze skrawków sukna, z albumu „Wiener Mode“).

jeśli dobrotliwa matka-przyroda niejednej może poskąpiła swych darów, to natomiast moda-czarodziejka tegorocznego sezonu balowego potrafi niejednokrotnie wyrównać lub zakryć „wrodzone“ braki. Spódnice wąskie u góry, zachodzące się szeroko dołem, suknie „princesse“, przypominające nieco „genre empire“, które malowniczo uwydatniają linie ciała, wreszcie staniki obcisłe, puszczone z przodu wolno mają tę zaletę, że potrafią kształty kobiece przedstawić i uwydatnić jak najkorzystniej.

Kult gracyi jest dzisiaj pierwszą zasadą naszej mody. Przytem moda dba dzisiaj o kolor i lubuje się w zestawianiu kilku barw. Kombinacye, które przed paru laty wydawały nam się wręcz niemożliwemi, sprawiają dzisiaj nader miłe wrażenie, dzięki umiejętności harmonizowania barw. Co prawda w suknie w kilku kolorach ubierają się głównie młode kobiety; dla panny, którą po raz pierwszy w świat karnawałowy prowadzą, i wogóle dla młodych panien głosi moda nadal dawną zasadę: biały, różowy, albo bladoniebieski muślin i tiul.

Taka sukienka panieńska — wierzchnia spódnica z białej gazy, z pod której przezierają mieniące się barwy



**„Słonecznik“**
(z żółtego jedwabiu z aplikacyą z bronzowego aksamitu).

kilku „fałszywych“ spódniczek z różowego i niebieskiego tiulu — taka sukienka wiotka, eteryczna, nadzwyczaj artystyczne sprawia wrażenie, zwłaszcza, jeśli ją zdobią jeszcze aplikacye z ko-



**Na bal kostyumowy:**
„M e w a“ (gaza malowana, tunika z aksamitu panne).

ronek albo riusze z tiulu, niby girlandy kwiecia, bramujące spódnicę i stanik.

Stoimy nieraz zdumione przed taką sukienką i pytamy się mimowoli, czy

ręce ludzkie, czy też ręce jakiej czarodziejki sprawiły to arcydzieło kunsztu modniarskiego.

Prócz tych kunsztownych arcydzieł igły, są w modzie o wiele prostsze,



**Kapelusze sezonowe.**

ale przeto niemniej wytworne sukienki z „mousselinechiffon“, których jedynem przybraniem są ruloniki atłasowe, tworzące zarazem zakończenia powiewnych wolantów albo bort u stanika. Jasnoczerwone gałązki wiśni, albo bladozielone, delikatne gałązki wrzosu urozmaicają przyjemnie ewentualną monotonię tego rodzaju sukienek.

Starszym mężatkom moda pozwala dzisiaj na rozwinięcie wielkiego zbytku. Materye używane na suknie balowe, mają połysk srebrzysty lub złoty, a wśród koronek, aplikacyi i inkrustacyi świecą niby krople rosy, chętnie do przybrania, zamiast pailletek używane „pierres de Strass“.

Wspaniałe są toalety z czarnego tiulu z aplikacyami z białego lub czerwonego aksamitu;wprost oszamiające zmysły suknie z gazy, które na kształt pancerza albo łuski rybiej otaczają ciało, lśniąc się i mieniąc wszystkiemi barwami przy każdym ruchu. Motyw oczek pawich, wykonany z aplikacyi aksamitu koronek i t. p., jest efektowną ozdobą sukni fasonu „empire“ i działa b. dekoratywnie.

W wycięciu sukni moda zaprowadziła zmianę. Niskie „decolte“ dozwolone jest tylko na plecach, ale nie „en pointe“, lecz w linii prostej od ramion przechodząc w dół tak, że stanik zdaje się być trzymanym u ramion tylko przez kilka sznurów pereł, albo przez sznureczki złote lub srebrne. Te sznureczki bywają często przeciągane z przodu, kontrastując dobrze z karnacyą biustu, a nie psując linii toalety.

Pewne zboczenie od kierunku obecnej mody przedstawia, pojawiająca się tu i owdzie suknia fasonu Pompadour, której obcisły „corsage en pointe“ z bufiastą u bioder spódnicą oznacza może, wyraźnie powtarzam: może — powrót do dawnych czasów. A trzeba wiedzieć, że rozchodzą się przerażające wieści: w Paryżu tajemniczo tu i owdzie obija się o uszy straszne słowo: krynolina! Wszystko to dzięki pewnej kostyumowej sztuce teatralnej, cieszącej się wielkiem powodzeniem i dzięki szczególnemu urokowi artystki, jak Jeanne Hading, której i w krynolinie do twarzy... Ale co nas strachy obchodzą? Nie podobna to rzecz, żeby moda mogła kazać nam nosić krynoliny! Dajmy już spokój temu tematowi i przyjrzyjmy się raczej nowej modzie rękawów, która fantazyi swobodne pole zostawia. Oryginalność obowiązuje w tej dziedzinie do tego stopnia, że widzieć można dwojakie rękawy u jednej toalety. „Mousseline de soie“, wstążki i kwiaty dostarczają materyału na rękawy. Gdybyż pióro mogło opisać te cuda! Ale to próżny trud! Lekka gaza obejmuje ramię opłotem powiewnym; forma jest na pozór nieokreślona, a przecież z jakim to kunsztem, z jakiem „raffinement“ wszystko to obmyślone i wykonane. Bardzo wyszukane bywają też „dessous“, które nieraz przy tak zwanych skromnych sukniach wieczorowych są wielce zbytkowne i artystyczne, znacznie kosztowniejsze i kunsztowniejsze od sukni, która je odkrywa. N. p. wolanty z malowanego „mousseline de soie“, albo halki jedwabne, całe pokryte aplikacyą z koronek...

* * *



**Kapelusze sezonowe.**

Jeśli się zważy cały ogrom pracy i kosztów, zużyty na te eleganckie części toalety, tembardziej cieszyć się wypada, że bale kostyumowe coraz więcej wchodzą w modę. Tu przynajmniej możemy być indywidualni, nie wydając sum bajońskich; tu wszystko jest dozwolone, byle podnosiło piękność kobiety a przy toalecie zważamy nie na jej kosztowność i nie na moc wło-



**Kapelusze sezonowe**

żonej w nią zmudnej pracy, ale na samą ideę, na sam pomysł. Indywidualność, oryginalność i korzystne wyglądanie — to jedyne obowiązujące zasady.

*Etincelle.*

## Śliczny chłopiec.

Wzniosły, smukły i młody,
O! nielada urody,
Ślicznyż chłopiec — czego chcieć?
Czarny wąsik! biała płeć!

Koń daleko tam jeszcze —
A rozkoszne już dreszcze,
Ślicznyż chłopiec — czego chcieć?
Czarny wąsik! biała płeć.

Stuknie oto po sieni,
Wnet się raczek czerwieni,
Ślicznyż chłopiec — czego chcieć?
Czarny wąsik! biała płeć!

W progu mrugnie oczyma,
Na wskroś całą mnie ima,
Ślicznyż chłopiec — czego chcieć?
Czarny wąsik! biała płeć!

Gdy pląsamy pod ręce,
To się ledwie nie skręce,
Ślicznyż chłopiec — czego chcieć?
Czarny wąsik! biała płeć!

Krąży słówko dowcipne,
Żem żywica, bo lipnę:
Ślicznyż chłopiec — czego chcieć?
Czarny wąsik! biała płeć!

Co to będzie — och! dalej?
Żeby my się — pobrali!
Ślicznyż chłopiec — czego chcieć?
Czarny wąsik! biała płeć!

*Bohdan Zaleski.*

# PIJACZKA.

Powieść w II częściach.

Z francuzkiego przetłomaczona dla „Pracy" przez **Laurę Zejdowską.**

(Przedruk wzbroniony.)

5)

## Część I.

### Nieszczęśliwa matka.

(Ciąg dalszy.)

Przybył też Matis, zmięszał się z rozmawiającymi, widział wzruszenie hrabiego i tłumaczył je sobie w swój sposób. Jednakże ten człowiek umie panować nad sobą, pomyślał, teraz u nóg jego leży biedny doktór tak jak tam na drodze.

W jakiś czas potem przybyli z kolei urzędnicy sądowi, wysiedli z powozu i zbliżyli się spokojni, obojętni do miejsca zbrodni. Na widok zebranych ludzi na twarzy pana Barillier, sędziego śledczego, odbiło się niezadowolenie; przybywał on z miasta Tours w towarzystwie doktora Marignan. Ciekawi odstąpili od piecy, sędzia podał serdecznie rękę hrabiemu, z którym łączyły go stosunki dawnej znajomości.

— Jestem do pańskiego rozporządzenia — powiedział hrabia — moje objaśnienia może będą panu potrzebne.

— Zostań pan z nami, będę panu bardzo obowiązany.

Doktór Marignan oglądał ciało, a urzędnicy sądowi po wysłuchaniu objaśnień Jana Bertelin, badali Langerauma. Ubranie na zmarłym było w wielkim nieładzie, musiał więc bronić się do ostatka, a ślady uduszenia były tak widoczne, że nie było żadnej wątpliwości o rodzaju śmierci.

— No, nareszcie doczekałem się ciekawej sprawy — pomyślał doktór — zwróci to na mnie uwagę.

— Sensacyjna sprawa była od dawna marzeniem doktora sądowego Marignan. Osiedlił się on w Tours od lat kilku, był młody, biedny i bardzo ambitny, pragnął zdobyć stanowisko, tymczasem zaledwie z trudem mógł wyżyć z małej swojej klienteli. Zaraz po przyjeździe do tego miasta ożenił się z Janiną Duverget, osóbką lekkomyślną, uwielbiającą stroje i dobrobyt. Mały posag, jaki wniosła mężowi, przepadł zaraz po ich ślubie w ryzykownem przedsiębiorstwie, gdzie go umieścił jej ojciec, musieli się ograniczać na tem, co doktór zarobił, a to było bardzo mało. Marignan studya ukończył w Paryżu, zdolności był miernych i niewielkiej inteligencyi, nie miał też żadnego zamiłowania do swego powołania, uważał je tylko za sposób wybicia się w wymarzone stanowisko. Po za tem był człowiekiem światowym, eleganckim i dość lubianym.

— No i cóż panie doktorze — zapytał sędzia.

— Panie sędzio, oto szczegół, który zwrócił moją uwagę, patrz pan, wewnętrzna strona ubrania przy kieszeni jest poszarpaną zupełnie.

Na te słowa hrabia zbliżył się raptownie.

— Pozwólcie mi mówić, panowie, ja dam wam w tej kwestyi najlepsze objaśnienia. Widziałem się wczoraj wieczór z doktorem Renneville, był u mnie na balu w pałacu, przedtem załatwiłem z nim pewien osobisty interes; o 9-tej godzinie odszedł do domu. Towarzyszyłem mu aż tu do białego domu.

— Doktorze, o której godzinie zaszła śmierć?

— Mniej więcej między 9-tą a 11-tą — odpowiedział doktór.

— Ah, czemuż mu dalej nie towarzyszyłem, czemu go usłuchałem, powiedział z boleścią hrabia, wiedziałem przecież, że doktór miał w swoim pugilaresie 200000 franków w biletach bankowych, które mu sam do rąk oddałem wieczorem.

Sądownicy patrzeli na siebie zdumieni.

— Dla bezpieczeństwa doktór zapiął kieszeń szpilką, złoczyńca pewno chcąc je wydobyć, rozerwał ubranie.

— Jakto, czy wiedział kto prócz pana o tej sumie?

Hrabia nie odpowiedział zaraz. Sędzia powtarzał mu znów zapytanie w innej formie, sądząc, że go nie rozumiał.

— Panie hrabio, wszak przy wzięciu tak wielkiej sumy musiał być jaki świadek, adwokat, może notarjusz?

— Nie, doktór i ja byliśmy zupełnie sami w moim gabinecie...

— Może kto podsłyszał waszą rozmowę, kto ze służby?

— Nie, nie było nikogo, do nikogo nie mówiłem o tem.

— Czy jesteś pan tego pewien?

Badanie to widocznie sprawiało przykrość hrabiemu, zdawał się zgnębiony. Matis stojący niedaleko zauważył to zaraz i pomyślał:

— Boi się teraz.

Miał on słuszność, hrabia bał się, żałował, że tam pozostał.

W czasie tej rozmowy dał się słyszeć okrzyk! „Umieram, pomocy!" Zrobiło się ogólne zamięszanie, otoczono wzywającego ratunku, był to jeden z ciekawych, który pomimo ostrzeżenia Langerauma, stał zbyt blisko otworu pieca; poznano w nim młodego chłopca, służącego jednego z gospodarzy, leżał on na ziemi bez czucia.

Doktór Marignan pospieszył do chorego i po upływie dwudziestu minut powrócił mu przytomność. Chłopiec otworzył oczy, chciał się podnieść, ale nie miał sił iść o swojej mocy. Robił wrażenie pijanego. Dwaj wieśniacy wzięli go silnie pod ramiona i prowadzili do domu wśród ogólnej wesołości i żartów. — Hej! hej: Janek, co ty pijany? A to piknie tak się spić od rana! —

Kiedy go donieśli tak do stajni, padł na siano i zaraz usnął; zostawiono tam chłopca i przestano się nim zajmować.

Langeraume znajdujący się w głębi piecy nie wiedział nawet co zaszło, ogniska już się wypaliły, niebezpieczeństwo minęło; wyszedł, stanął przy ciele doktora i przypatrywał się uważnie, po chwili coś widocznie zwróciło uwagę poczciwca, gdyż zbliżył się do prokuratora sądowego ze słowy:

— Panie prokuratorze, zauważyłem coś niezwykłego, całe ubranie zmarłego powalane jest błotem, ono nie pochodzi przecież z pieca, wszak pan widzi, że tu wszędzie na dużej przestrzeni są tylko warstwy gipsu, lub suchej ziemi, zatem to nie tu doktór został zabity, ale chyba na drodze koło ruin, gdyż tam ziemia zawsze jest mokra i błotnista. Urzędnicy i doktór zdumieni byli mocno tem prostem objaśnieniem, stojący opodal hrabia, Matis oraz wieśniacy usłyszeli też to co mówił robotnik, rozmowy się znów ożywiły, ale zaraz nowy szczegół powiększył ogólną ciekawość. Dwaj stróże leśni Patairnel i Musard podeszli do sędziego i zaczęli mu opowiadać jak w nocy podczas swojej zwykłej wycieczki dla tropienia kłusowników wracając do domu drogą koło ruin niedaleko kaplicy znaleźli kawałek jedwabnej podszewki wraz z szpilką, co chyba jest dowodem, że tam to właśnie spełniono morderstwo. Urzędnicy porównali materyą; był to rzeczywiście wyrwany kawałek z kieszeni od paletota, ale nie zdążyli jeszcze zastanowić się nad tem odkryciem, kiedy znów przerwano ich badania, ozwały się okrzyki zebranych:

— To ona tam, to ona, na śmierć!

Karolina Lamarche zadziwiona zapewne niezwykłym ruchem na drodze, wyszła z białego domu na taras chcąc się przekonać, jaki tego powód, nagle cały ten tłum na jej widok zawrzał gniewem i groźbami, biedna kobieta wyciągnęła ręce przed siebie jakby się chciała bronić lub przeczyć. Poczem nie mogąc dłużej słuchać tych dzikich krzyków, schroniła się znów do domu.

Dla przybyłych na śledztwo urzędników ani osoba jej, ani stosowane do niej groźby i posądzenia nie były obce, od dawna już sąd odbierał listy anonimowe i doniesienia o wszystkiem, co obiegało całą okolicę, a chociaż doktór Renneville nie wysłał jeszcze swego listu, w którym wyraźnie obwiniał Pijaczkę o śmierć dziecka, jednakże opinija Karoliny nie była zbyt czystą wobec przedstawicieli sprawiedliwości. Dnia poprzedniego do sądu Tours przyszedł nowy list bez podpisu ze słowy: „Pijaczka zabiła swoje dziecko."

Nie mogąc dalej milczeć, prokurator postanowił wyprowadzić śledztwo, teraz znów usłyszał nowy zarzut opinii, tłum robił Pijaczkę odpowiedzialną śmierci doktora. Sąd nie rozpoczął jeszcze śledztwa, nie miał czasu wzywać świadków, ale oto zjawiali się sami, bo właśnie dwóch wieśniaków wy-

stąpiło z pomiędzy zebranych i prosili o pozwolenie mówienia.

Prokurator kazał się im zbliżyć, a wszyscy obecni cisnęli się dokoła z ciekawości.

— Wczoraj wieczór — rozpoczął jeden z nich — wracałem z moim bratem z roboty do domu, spotkaliśmy doktora Renneville który opowiadał nam, że wraca z białego domu, gdzie go gwałtem wciągnął pan Lamarche, podobno był świadkiem strasznej sceny między nim i żoną, potem doktór pożegnał się z nami i poszedł do domu swego drogą koło ruin. Zaledwie przeszliśmy kilkanaście kroków, zobaczyliśmy biegnącą za nim Pijaczkę, wyglądała jak szalona i wołała głośno: — Ja nie chcę, ja nie pozwolę żeby doktór rozpowiadał wszędzie, że ja otrułam moje dziecko. Nie widziała nas wcale, pobiegła dalej i znikła nam z oczu, to tylko widzieliśmy, że się też skierowała w stronę ruin opactwa. Oto wszystko co wiemy, obowiązkiem naszym było złożyć to zeznanie. Sędzia dał im znak, żeby odeszli, zwrócił się do swoich kolegów i rozmawiał z nimi z ożywieniem.

— Czyż to możliwe żeby ta kobieta popełniwszy morderstwo miała jeszcze siły dowlec aż do piecy ciało doktora?

— Bywały podobne przykłady — odezwał się prokurator, jeżeli doktór obwinił ją o śmierć dziecka, pragnęła jego śmierci, żeby siebie ocalić.

— Musimy iść wybadać tę kobietę, tymczasem każę pilnować żandarmom jej dom, żeby się nam nie wymknęła ciało doktara odprowadzimy teraz do jego mieszkania.

W pół godziny potem smutny kondukt wyruszył w drogę, hrabia Thiellay nie towarzyszył mu, poszedł do pałacu, Matis nie śmiejąc się zbliżyć do niego, postępował za hrabiem z daleka.

Sędzia i prokurator przybywszy do domu doktora zajęli się przeglądaniem papierów na biurku zmarłego; nie potrzebowali długo szukać, oczy ich spoczęły na dużej kopercie z wyraźnym adresem: „Do pana sędziego śledczego miasta Tours“ a pod tem napisane było mniejszemi literami: „Opinija moja dla użytku sądu co do choroby i śmierci tajemniczego Henryka, syna Karoliny Lamarsche zwanej Pijaczką.„ Obydwaj urzędnicy nie bez wzruszenia otworzyli list i oto co w nim wyczytali:

Po długiem wahaniu i namyśle uznałem, że obowiązkiem moim jest donieść sprawiedliwości o pewnych zaszłych wypadkach. — Podczas ubiegłego lata d. 15 lipca wezwany zostałem do pani Karoliny Lamarche do najmłodszego jej dziecka Henryka, mającego w owej chwili około 3 miesięcy życia. Matka objaśniła mnie, że dziecko było słabe i chore od chwili urodzenia, lecz że w ostatnich dniach zdawało się być bardziej cierpiące. Poddałem dziecko starannym i uważnym badaniom, oddech jego był ciężki, serce zajęte. Od tego dnia 23-go tegoż miesiąca odwiedzałem dziecko ciągle, choroba postępowała i pomimo moich starań zacząłem wątpić czy zdołam je ocalić.

Powód choroby zdawał się mieć źródło w dziedziczności. Dziecko pijaczki padało ofiarą nałogu matki. Jednakże wbrew moim przewidywaniom z nastaniem chłodniejszej pory nastąpiło raptowne polepszenie, a podczas zimy przestałem je odwiedzać, gdyż było zupełnie zdrowe. Nadeszła wiosna. 5 kwietnia ponownie wezwała mnie pani Lamarche; dziecko zapadło znów i to silniej niż poprzednio; byłem tam kilka razy aż do 15 maja, tj. dnia śmierci maleństwa. Dnia tego przybyłem zapóźno, ciało było zimne, wykrzywione konwulsyjnie, tak jak się to widzi u osób otrutych. Nie oskarżam nikogo, chcę tylko zwrócić uwagę sprawiedliwości, autopsya wykaże najlepiej, czy moje posądzenia mają jaką podstawę, czy miała tam miejsce zbrodnia!“

Tak się kończył list doktora Renneville, który pewno miał zamiar dnia następnego posłać go do Tours, doszedł on i tak rąk sprawiedliwości. Nie można się było dłużej wahać, trzeba wybadać pijaczkę.

Obydwaj panowie natychmiast skierowali się w stronę białego domku pokrytego zwojami bluszczy i powoji.

## ROZDZIAŁ VIII.

## „ONI NIE PRZEMÓWIĄ.“

Przybywszy do Fenestrel hrabia zamknął się w swoim pokoju, nie schodził nawet na śniadanie. Dopiero koło 2-ej godziny poszedł do parku i długo chodził po alejach z głową pochyloną w ciężkiem zamyśleniu. O 4-ej wrócił i zapytał o Klotyldę. Służba powiedziała mu, że hrabina jest w salonie w towarzystwie kilku pań przybyłych do niej z sąsiedztwa. Matis był tam także. Po odjeździe pań młodzi ludzie zostali nareszcie sami. Klotylda pytała go z niepokojem:

— No i cóż, byłeś tam, widziałeś go?

— Tak byłem, widziałem go jak z całym spokojem dawał objaśnienia sądownikom, chcąc zapewne od siebie odwrócić możliwość posądzenia.

— Nic nie był wzruszony?

— Przeciwnie, był nim bardzo, nie spuszczałem z niego wzroku, widziałem jak ocierał często pot zraszający mu czoło, raz byłem pewien, że zemdleje w chwili kiedy dwaj strzelcy leśni składali zeznania.

— Powiedz mi, panie Matis, czy zastanowiałeś się jaki może być powód tego mordersrwa?

— Myślałem dużo, ale nie znalazłem rozwiązania... tembardziej, że doktór został obrabowany ze znacznej sumy 200 000 franków, które mąż pani wręczył mu tego wieczora.

— Doprawdy, że ja zaczynam wątpić, aby prawdą było to, cośmy widzieli.

Matis wzruszył ramionami.

— Niestety, to był „on“ napewno.

— Oh, patrz idzie, wchodzi, już za chwilę tu będzie, patrz te ruchy, te same, widzisz ten mały, miękki kapelusz?

Klotylda stanęła w oknie, drżała widząc zbliżającego się do nich hrabiego.

— Jego zimna krew nabawia mnie strachu, nie odchódź pan, boję się z nim pozostać sam na sam. Hrabia wszedł do salonu, uśmiechnął się do żony i podał rękę Matisowi. Był smutny, lecz zupełnie swobodny, w oczach jego jaśniała zwykła dobroć. Nie widział żony od wieczoru poprzedniego, od chwili, kiedy ona nie zważając na prośby jego oddaliła go ze swego pokoju; rano pukał do drzwi, lecz, że nic nie odpowiedziała, poszedł do białego domu. — Wszak wiesz już smutną nowinę, Klotyldo? „Tak doktor nie żyje.“ — Zamordowano go niedaleko białego domu zaledwie w kilka chwil po mojem z nim rozstaniu, zabito go, żeby okraść. Hrabina przybrawszy całą zimną krew przemówiła z rodzajem nerwowego podniecenia. „Ależ to nieprawdopodobne, doktór znany był ze skępstwa, wiedziała o tem cała okolica, że nigdy przy sobie nie nosił pieniędzy, zbrodnia zatem była bezużyteczną. — „Przeciwnie, wczoraj doktór miał przy sobie dużą sumę“. A ty zkąd wiesz o tem? — Sam mu ją wręczyłem jako część zapłaty za grunta od niego nabyte, ta suma znikła! — Na kogoż pada podejrzenie, czy są jakie ślady? Opinia publiczna obwinia pewną nieszczęśliwą kobietę... Karolinę Lamarche.

A ty, cóż ty? Wybuch ten zadziwił hrabiego, Klotylda widząc, że się omało nie zdradziła, starała się naprawić błąd. „A ty... ty cóż myślisz o tem wszystkiem?“ Ja... ja... cóż chcesz przez to powiedzieć, Klotyldo, przecież nie myślisz chyba, że to ja go zamordowałem. Co to jest, co ci się stało? — Hrabina całą siłą woli powstrzymała się, by mu nie rzucić w twarz tych strasznych wyrazów przekleństwa.

— Nędzniku, przeklinam cię, widmo moje... — Zamilkła i prawie nieprzytomna uśmiechała się do hrabiego, a widząc, że i on się uspokoił, zwróciła rozmowę na inny przedmiot. — Wkrótce odwołano hrabiego, została więc znów sama z Matisem.

— Jakże można było tak się odezwać, mogłaś nas była zdradzić.

— Tak, to prawda, to był jakiś napad obłędu, przyrzekam nadal panować nad sobą, będę milczeć, bo my przecież musimy milczeć, chociaż tem zgubimy niewinną kobietę.

Zresztą mniejsze o to, oskarżenie to przecież nie istnieje bez skazy, nazywają ją „pijaczką“, chodzą też pogłoski, że ona otruła swoje dziecko, doktór Renneville mówił do nas o tem głośno; jedno przewinienie mniej, czy więcej nic już dla niej nie znaczy, jest nakoniec sprawiedliwość, niech sąd wyświetli prawdę. Gdyby tu szło o zupełnie uczciwą kobietę, może bym się wahała, ale milczeć będę, bo tu idzie o pijaczkę... a ty co postanowiłeś?

— Ja... ja?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



# Pierwszy Arlekin.

Przed kilku wiekami, we włoskiem mieście Bergamo, chodził do szkoły chłopak pilny, pracowity, uczynny dla kolegów, ale bardzo ubogi; chłopiec ten nazywał się Harlekino. A był wówczas we Włoszech zwyczaj, że żacy, jak dawniej studentów nazywano, dostawali na ostatnie dni zapust nowe suknie i w nich jawili się na ulicach podczas zabaw karnawałowych.

Dnia tego oczekiwali żacy z upragnieniem większem nawet, niż zakończenia roku szkolnego, bo na końcu kursu nie każdemu dostawała się nagroda, a leniwi ze strachem myśleli o nim — w zapusty zaś wszyscy, bez względu na postępy w naukach i zachowanie się w szkole, dostawali nowe suknie.

Już na kilka tygodni przed owym upragnionym dniem opowiadali sobie żacy w Bergamo, jakie który dostanie ubranie; jeden tylko Harlekino milczał podczas tych wesołych, głośnych rozmów.

— A ty w jaką się suknię ubierzesz na karnawał? — zapytał go jeden z kolegów.

— W tę, w której jestem obecnie. Ojciec mój chorował ciężko tej zimy i matka nie ma za co kupić materyi na nowe ubranie.

Gdy Harlekino odszedł, inni żacy zatrzymali się w przysionku gmachu szkolnego i zaczęli się naradzać, jakby to przyjść w pomoc ukochanemu koledze.

— Wiecie co! — zawołał Antonio — niech każdy z nas utnie kawałek swojej materyi, a z tych kawałków matka Harlekina uszyje mu suknię.

Plan podobał się. Nazajutrz rano przed rozpoczęciem nauki, zbiegli się chłopcy w domu Harlekina, każdy z radością wydobywał przyniesiony kawał materyi. W tem prawie ze wszystkich piersi wydarł się okrzyk zdziwienia, bo każdy kawałek był innego koloru.

Chłopcy opuścili bezwładnie ręce.

— Nie pomyśleliśmy o tem — szepnął Antonio.

— Nic to nie szkodzi — zawołał wesoło Harlekino — uszyjesz mi mateczko suknię z tych wszystkich kawałków, wszak na karnawał można się ubierać dziwacznie, a mnie ta suknia będzie bardzo miła, bo każdy jej płatek — to dowód miłości jednego z kolegów.

W dniu oznaczonym Harlekino ubrał się w pstrą suknię, twarz pokrył czarną maseczką, na głowę nałożył spiczasty kołpak, wziął w rękę drewniany mieczyk i tak otoczony gronem kolegów ukazał się na ulicach miasta. Zaciekawione tym szczególnym strojem tłumy, biegły za nim, otaczały go, zaczepiały, a on odpowiadał im wesoło i dowcipnie.

Od tego czasu, żadna zabawa zapustna nie mogła się obyć bez „arlekina.“ Z Włoch postać ta przeszła do całej Europy — i u nas w Polsce był zwyczaj, że na czele kuligu jechał arlekin, zapowiadając przybycie gości, — zapomniano tylko, że wesołą tę postać powołała do życia miłość koleżeńska.

*A. L.*

# Ostatni mój bal.

OBRAZEK.

Było to w lutym 1899 roku...

Karnawał tętnił życiem; dokoła rozlegały się odgłosy hołupców...

Godziny jednak wydały się długiemi, skoro się oddawna od wrzawy balowej, od atmosfery ciepłej i woniejącej w salonie odwykło.

W dwudziestym roku życia tworzy się w takiej chwili poemat, w sześćdziesiątym — nabawia się migreny.

Pani domu, hrabina Zofia, ulitowała się nade mną.

— Muszę pana, który jesteś krytykiem, przedstawić pewnemu uczonemu o rozgłośnem nazwisku. Posiada niepospolitą zdolność obserwacyjną, a obserwacya uczyniła z niego człowieka strasznego. Ale jest on pesymistą i ma zły język o tyle tylko, o ile to jest potrzebnem do urozmaicenia i uprzyjemnienia rozmowy.

Skłoniłem się hrabinie, zadowolony, iż poznam profesora Karzyckiego, którego prace z dziedziny historyi sztuki wysoko ceniłem.

W pięć minut potem, siedziałem z profesorem w kącie salonu na wielkiej wygodnej kanapie i prowadziłem z nim zajmującą rozmowę.

Zadawaliśmy sobie wiecznie jednakowe a nigdy nie rozwiązane pytanie:

Czy jesteśmy gorsi, czy lepsi od naszych ojców?

Ku wielkiemu memu zdziwieniu dowcipny, bystry profesor wahał się z odpowiedzią, wspominając wszystkie *pro* i wszystkie *contra;* wreszcie rzekł:

— Są jeszcze błędy, skandaliki... Poznań jest to miasto uciech, ale i miasto pracy. A w tym salonie pełnym światła, kwiatów, uśmiechów wdzięcznych, pereł, dyamentów, alabastrowych ramion... jest zaledwie...

Przerwał i zadał mi pytanie;

— A może pan jest powieściopisarzem?

— Jestem tylko krytykiem literackim.

— Otóż — ciągnął profesor dalej — w tym salonie do tej chwili wszystko odbywa się przyzwoicie... Odkrywam przecież już teraz dwie intrygi, albo właściwie dwa wstępy do romansu, który zapewne skończy się tryumfem cnoty.

— Gdzie są bohaterowie i bohaterki? zapytałem żarliwie.

Profesor nie odpowiedział mi, ale widziałem, jak jego wzrok okrąża salon, śledząc pary tańczące walca.

Wzrok ten, zaostrzony złośliwością, zatrzymał się na chwilę na dwóch parach, zwracających uwagę powszechną.

Spojrzenie mignęło szybciej aniżeli błyskawica. Przejąłem je przecież w locie.

Jedna z dwóch kobiet (nazwę ją Reginą) przedstawiała typ piękności południowej, imponującej. Oczy miała wielkie, czoło — rozkazujące śnieżnej białości, brwi czarne, rysy regularne, jakby wyrzeźbione, kibić wiotką, ręce i ramio-

na jakby w marmurze wykute... Nadto włosy czarne w niemałej obfitości otaczały jej głowę w kształcie dyademu.

Takie znamiona schwyciła pamięć moja, jak klisza fotograficzna.

Ale widocznie miłość — a właściwie wyróżnienie mężczyzny przez taką kobietę, bardziej pochlebiało próżności, niż chwytało za serce.

Tancerz był tym wyróżnionym. Mówiono o nim (słyszałem to wyraźnie):

— Piękny Gucio wpadł w oko „królowej"!...

Po jego obejściu, po kokieteryjnych minach można było wnioskować, że dla tego przedstawiciela piękna, wszystkie poetyczne nastroje, wzajemność uczucia, kontrast upojenia i wyrzutów, całe owo drżenie dwóch dusz siostrzanych, które się nareszcie z sobą spotkały, nie są warte tego dumnego upojenia, jakiego doznawał, widząc, że jest przez Reginę wyróżnionym — przez Reginę, prawdziwą królowę wszystkich piękności poznańskich.

Druga bohaterka niedyskretnego wzroku profesora (nazwę ją Ada), przypominała typy: Karoliny, Mignony, Małgorzaty — Małgorzaty polskiej, arystokratycznej, która łączy wyjątkową elegancyę z wyrazem mistycznego znaczenia. Była piękną, ale wątłą i delikatną; nie miała w sobie nic zmysłowego.

Doznawałem dziwnej mieszaniny rozczulenia i niepokoju, patrząc na Adę, jak zawieszona na ramieniu młodego człowieka, tańczyła z zapałem.

Tancerz mógł być tak dobrze Wertherem, jak Fikalskim. Blady, z oczami podbitemi, sunął po posadzce, trzymając w objęciach nadobną kobietę,

— A mężowie tych pań? — zapytałem profesora.

— Na swoich zwykłych miejscach — przy kartach, do godziny piątej rano.

Powiedziawszy to, odszedł. Pozostałem sam.

Orkiestra grała walca z „Fausta".

Cały świat wspomnień odezwał się we mnie.

Zastosowywałem do ślicznej Ady, tak czystej jeszcze, ale wystawionej już na pokusy, różne epizody i legendy, spopularyzowane w tragedyi Goethego i w cudnej muzyce Gounoda.

Walc przy końcu był coraz szybszy. Zagłębiwszy się w fotelu, cofnąłem go w sam kąt, aby nie przeszkadzać tańczącym.

Nagle, w chwili, gdy Regina i Ada przesuwały się koło mnie, obrzucając moją twarz obłokiem koronek i woni, spostrzegłem, jak jednej z głowy — spadł warkocz przypięty, a drugiej z za stanika — wypadł szkaplerz...

Regina chciała się uśmiechnąć, ale paliła się ze wstydu i przygryzała sobie usta. Fikalski-Werther miał taką minę, jakby pragnął w tej chwili znajdować się na biegunie północnym...

Szkaplerz upadający ja sam tylko zobaczyłem; upadł tuż przy mnie, a uwaga powszechna tak była pochłonięta przez warkocz niefortunny, iż mogłem szkaplerz nieznacznie podnieść i schować.

Jakiś tajemniczy węzeł złączył mnie z Adą w tej chwili.

— Ona szkaplerz wzięła z sobą, jako puklerz przed złem możliwem, — myślałem sobie, — teraz zaś go zgubiła: to dzieło podstępne Mefistofelesa

Po walcu nastąpił kontredans. Naprzeciwko Ady tańczył tym razem Werther-Fikalski, który młodą kobietę pożerał wzrokiem płomiennym. Ada podniosła rękę do piersi, jakby szukając swej tarczy.

Kiedy się kontredans skończył, Ada weszła do małego saloniku, pogrążonego w półmrok. Panie tu sobie poprawiały swoje suknie. W tej chwili salonik był pusty.

Wzruszenie, jakie się odbijało na twarzy, najlepiej dowodziło, iż Adę utrata szkaplerza głęboko obeszła i zasmuciła. Bez szkaplerza czuła się Ada — bezbronną.

Nie wahając się wcale, zbliżyłem się do niej i przemówiłem w te słowa:

— Miej mię pani za wytłomaczonego... Sam wiek mnie usprawiedliwia... Upoważnia do pewnego stopnia... Jutro wyjeżdżam — nie zobaczę jej więcej... Wypadek, nie — Opatrzność sprawiła, że posiadam w ręku talizman pani... Szczęśliwy jestem, iż go mogę szanownej pani wręczyć...

Gdym to mówił, twarz Ady mieniła się: bladła i ponsem się oblewała, kolejno patrzyła z osłupieniem, to z dobrocią — wreszcie wyciągnęła rękę, wzięła szkaplerz, przycisnęła go do ust. Zapomniała mi nawet podziękować...

Wyszedłem.

Po chwili ujrzałem, jak Ada oderwała męża od kart. Poczciwy człowiek otulał ją futrem, aby się nie zaziębiła, gdy pojadą do domu.

W progu stał Werther-Fikalski w pozie melancholijnej.

Powtarzał pewno wiersze Lamartine'a:

Tylko jedna istota ubyła,
A salon się cały wyludnił...

Reginy do tańca już nie proszono. Los ten dźwigała z niechęcią widoczną.

Werther-Fikalski zasiadł do kart — i od jej męża zaczął wygrywać...

Nazajutrz była niedziela. Poszedłem do poblizkiego kościoła. W kruchcie, przy kropielnicy, spotkałem się z Adą, która pomimo zmęczenia, przyszła do świątyni, aby się ukorzyć przed Bogiem.

Słodki uśmiech przebiegł przez jej usta.

Przeżegnaliśmy się jednocześnie.

Kiedym patrzył na nią, kroczącą ku wielkiemu ołtarzowi, miała w spojrzeniu swem czystość, w całej postaci wdzięk i godność szlachetną...

W parę dni później udałem się na południe. W wagonie spotkałem Werthera-Fikalskiego.

— To pan, król kotyliona, opuszczasz Poznań w tej porze, przed końcem karnawału?

— Rzucam radość i miłość!... Zacząłem się nudzić... Mam tego wszystkiego dosyć... Kobiety są albo skromnisie, albo głupie... Jadę do Paryża!.. Niema jak Paryż... A może i dalej puszczę się w świat — na drugą półkulę...

Rozmaitemi drogami Bóg prowadzi ludzi i czuwa nad każdym prochem...

Adę ocaliła religia, Reginę — próżność niewieścia... *Antoni Doliwa*

# Napad wilków na wóz furmański.

(Do illustracyi albumowej).

Nie rzadko się zdarzało, że u nas w Polsce dawniej, gdy było dużo lasów, a mało szos i prawie żadnych kolei żelaznych, wilki zgłodniałe napadały podczas ostrej zimy w drodze podróżnych i rzucały się na konie, które nieraz stały się pastwą ich żarłoczności. Były także przypadki, że rzucały się na ludzi i ich pożerały.

Na illustracyi naszej zobrazowany jest napad wilków na wóz furmański. Woźnica szczęściem zdołał uciec i dotrzeć do najbliższej wioski; jeden tylko z koni padł ofiarą wilków, a dwa ocalały, dzięki zarekwirowanej ze wsi przez woźnicę natychmiastowej pomocy.

*—ski.*

# Z TEATRU.

(Sobowtór, krotochwila w 3-ech aktach Hennequina i Duvala).

Ostatnio wystawił teatr jako premierę najświeższą nowość repertuaru francuskiego, krotochwilę Hennequina i Duvala p. t. „Sobowtór."

Rzecz dzieje się w Paryżu w rodzinie inżyniera Brissarda (p. Ryger), który, chcąc bezkarnie oszukiwać swoją żonę, upewnia ją za pomocą listów anonimowych, że w Paryżu jest druga osoba, jak dwie krople wody podobna do niego, i śmiałość swą posuwa do tego stopnia, że sam w przebraniu przychodzi do swojego domu i tam wobec żony, teściowej, służby oraz gości podaje się jako „Sobowtór" za ową drugą osobę, zmieniając mowę i ruchy.

Dzięki swej śmiałości wprowadza Brissard w błąd nieufną i podejrzliwą przyjaciółkę swej żony, Zuzannę Marcinelle (p. Podgórska), pragnącą go nawrócić na drogę cnoty. Pani Marcinelle, godna wnuczka Eugeniusza Scribe'go, przestudyowała z gorliwością wszystkie sztuki swego pradziada i dlatego chełpi się przed swą przyjaciółką, panią Brissard (p. Stogniewska), że zna wybornie podstępy, do których uciekają się mężowie, zdradzający swe żony. Skuteczną praktykę stosuje na swym mężu, dr. Marcinelle'u (p. Zejdowski), który o zdradzie swej magnifiki nawet pomyśleć nie może.

„Qui pro quo" jest w tej bardzo wesołej i nadzwyczaj dowcipnej krotochwili znakomicie wyzyskane, a punktem kulminacyjnym, na wskroś komicznym, jest akt 2-gi i to w chwili, gdy p. Brissard, jako sobowtór, dostaje nagle kurczu w nodze.... W końcu pani Marcinelle demaskuje Brissarda.

Pan dyrektor Ryger w bardzo trudnej roli tytułowej dał wyborną sylwetkę pomysłowego męża i iście mistrzowską oraz pełną humoru grą budził nieustanną wesołość w audytorium. Dzielnie sekundował mu p. Zejdowski. Bardzo energiczną teściową - pułkownikową (Aurora Lechapier) była zasłużona weteranka naszej sceny, pani Królikowska.

Współudział reszty artystów przyczy-

nił się do wytworzenia bardzo udatnej całości. Wystawa była, jak zwykle, staranna. *—ski.*

# KRONIKA.

Nie wiem, czy który z czytelników „Pracy“ zajrzał kiedy do sali podominikańskiej w godzinach popołudniowych? Kto tam zajrzy, spotka się z miłym widokiem. Posępne mury wysokiej sali rozbrzmiewają głośnym, wesołym śmiechem, to znów rozbrzmiewa piosenka. Skąd na tej sali biorą się te zastępy dzieci? Oto tam właśnie znajduje się *„Przytulisko dla dziatwy.“*

Jakiż jego cel?

Wiadomo wszystkim, że mieszkania robotników i rzemieślników nie należą w Poznaniu do najlepszych. W ciemnych i ciasnych izdebkach biedne dziecko nie może odrobić swych zadań do klasy. W ciężkiej zimie dokucza też zimno w źle opalonych mieszkaniach, otworzono więc to Przytulisko, aby tym sposobem dać dziatwie na kilka godzin ciepły i jasny „Przytułek.“

Do „Przytuliska“ uczęszcza dziennie przeszło 100 dzieci. Malcerya z radością tamże chodzi, bo nie tylko, że może swobodnie opracować swe szkolne zadania, lecz otrzymuje także podwieczorek — złożony z bułki i mleka. Jasnem jest, że potrzeba na to wszystko pieniędzy. Ostatnie roczne sprawozdanie wykazuje wydatków 1201 mk. Składki członków nie wystarczają na pokrycie rozchodów, trzeba więc rozmaitemi sposobami przysporzyć dochodów. W tym celu odbył się dnia 1 lutego w sobotę na nowej sali bazarowej wieczorek z tańcami, który na czysto przyniósł 388.90 mk. Tym sposobem zapewniono Przytulisku byt na całe ćwierćrocze.

Nieraz się sarka na bale i wieczory dobroczynne. Czyniłem to i ja. „Balowa i wieczorkowa“ dobroczynność jest dość kosztowna.

Cóż atoli robić? Młodzież się chce bawić i drogę do przyzwoitej zabawy zagradzać jej byłoby niesłusznem. Zatem bardzo dobrze jest, że do *celu zabawy* dołącza się również *cel dobroczynny.*

Możnaby wprawdzie powiedzieć, że lepiej ostatecznie zebrać składkę i zasilić tym sposobem dobroczynną instytucyą poparcia potrzebującą. Prawda, myśl to bardzo słuszna, praktyka jednak niejednokrotnie wykazała, że mało kto złoży grosz, zasłaniając się tem, że jest członkiem i płaci jako taki roczną składkę, do składek zaś nadzwyczajnych nie czuje się zobowiązanym. Zabawa natomiast pociąga: i grosz lżej wychodzi z woreczka.

Nawiasowo mogę zaświadczyć, że na wieczorku dnia 1 lutego bawiono się ochoczo, lecz skromnie, to samo można powiedzieć o wieczorku urządzonym przez księżnę Zdzisławową Czartoryską na rzecz Tow. św. Wincentego a Paulo.

Skoro już wspomniałem o wieczorkach, nadmieniam, że tej niedzieli odbył się bardzo dobrze ułożony koncert amatorski na rzecz „Ochronki“ na Wildzie.

Dnia 1 lutego odbył się również bal „Sokoła“ niezmiernie zajmujący. Oto dlatego, że wystąpiły do popisu po raz pierwszy gimnastykujące panie („Sokolice“) i że „Sokół“ wyznaczył nagrodę za najskromniejsze toalety. Pomysł bardzo korzystnie świadczący o naszem mieszczaństwie. Albowiem z niego widać, że nasze mieszczaństwo umie się bawić, a bawiąc się rozszerzać pragnie zmysł skromności i oszczędności.

Rozpisałem się o karnawale na dobre — ale nie ma w tem nic podpadającego, przecież mamy karnawał i to podwójny, bo — powtórzę tu dosyć już starego kalembura — mamy nietylko rzeczywisty karnawał, ale także prawdziwy „kar nawał.“ Przecież nie tak dawno temu posypał się *„nawał kar“*, na redaktorów „Pracy“ i „Górnoślązaka.“ Oto skarano młodego, bardzo sympatycznego i zdolnego redaktora Górnoślązaka, p. Korfantego na kilka miesięcy więzienia i tak samo odpowiedzialnego redaktora Kamińskiego. Co gorsza odrzucono wniosek obrońcy o wypuszczenie Korfantego z więzienia aż do czasu rewizyi wyroku. Tym sposobem odjęto panu Korfantemu istotnie możność stawienia wniosku o rewizyą. Zanim bowiem postępowanie rewizyjne zostałoby przeprowadzonem, mogłoby minąć kilka miesięcy, stawienie więc wniosku rewizyjnego, przy równoczesnej odmowie ze strony prokuratoryi wypuszczenia Korfantego na wolną stopę aż do wydania wyroku w rewizyjnej instancyi, byłoby tym sposobem podwojeniem kary więziennej

Wstrzymuję się oczywiście od wszelkiej krytyki, sądzę jednak, że każdy sam sobie wyrobi zdanie o tem postąpieniu.

Trzeba mieć dużo zimnej krwi, aby nie wyjść z równowagi, trzeba mieć dużo rozwagi, aby nie wybuchnąć ostrem słowem potępienia.

A jednak od stołów ministerjalnych twierdzą, że jesteśmy burzliwymi, że my jesteśmy stroną zaczepiającą, że my napastniczo występujemy.

Ci panowie zasiadający na krzesłach ministerjalnych zamykają uszy na wszystko, a otwierają je tylko na to, by usłyszeć urzędowy „berycht.“ Oto jest owa jakby ewangelja, na którą ministrowie wskazują i na którą się uroczyście zaprzysięgają! O ironio!

Spotkałem się kiedyś z dawnym znajomym i rozmawialiśmy o ostatnich procesach prasowych. Wtedy powiada mój znajomy: *„Nakładcy pism polskich powinni założyć stowarzyszenie wzajemnego zabezpieczenia się od sądowych kar pieniężnych!“* Stowarzyszenie może się oprzeć na takich samych warunkach, na jakich się opierają inne stowarzyszenia oparte na wzajemności. — Myśl nie zła, odpowiedziałem — lecz jak wysoką premią musiałaby „Praca“ opłacać? Przecież „Pracy“ wytaczają w jednym kwartale często po 2 procesy. Trzeba już samemu dźwigać ciężki los i żywić tylko niezłomną nadzieję, że czytelnicy pisma w ciężkich potrzebach nie opuszczą. *Jrydion.*



# Wiadomości.

— *Otrzymaliśmy od naszych Czytelników liczne listy z wyszczególnieniem składek na zbierające się przez nas fundusze, atoli nie odebraliśmy dotąd pieniędzy przeznaczonych na te cele. Tak samo odebraliśmy z wielu stron pieniądze bez podania notatki, na jaki cel są przeznaczone. Ponieważ spisy składek porządkujemy, więc upraszamy interesentów o spieszne uregulowanie tych niedokładności.*

— Z teatru. *Benefis artysty dram. sceny poznańskiej p. Juliusza Borawskiego* (w przyszły czwartek).

Nazwisko to, znane nam nie oddawna, bo dopiero od 1-go października r. z. P. Borawski, długoletni artysta dramatyczny warszawskich Rządowych Teatrów

w miesiącu październiku wystąpił pierwszy raz na naszej scenie jako Rejent w komedyi p, t. „Zemsta za mur graniczny.“ Dyrekcya polskiego teatru po tym występie zaangażowała p. Borawskiego na stałe. Od pierwszego występu artysta ten rozpoczął zdobywać naczelne na naszej scenie stanowisko.

Doskonała szkoła, bez manier prowincyonalnych, rutyna sceniczna, piękny i silny głos, wzorowa dykcya, - oto środki artysty, obok rzeczywistego uzdolnienia. Przypomnijmy sobie w b. sezonie odegrane role w sztukach: „Hedda Gabler“, „Helena de la Seiglière“, „Sobótki“ „Bieluchna“ i wiele innych, oto dotychczasowy sukces artysty. P. Borawski przyswoił i scenie polskiej nie jedną rzecz z obcych języków tłomaczoną, lub napisaną oryginalnie.

Dodajmy do tego ujmującą powierzchowność i zalety charakteru, a zrozumiemy tę sympatyę, jaką go otacza Dyrekcya naszego teatru i bez wyjątku wszyscy koledzy.

Dyrekcya teatru pierwszy benefis, który się odbędzie d. 13-go lutego r. b. t. j. w czwartek, dała p. Borawskiemu.

Na benefis ten daną będzie sztuka alzackiej spółki komedyopisarskiej pp. Erkman-Chatrian, p. t. „*Hans Mathis.*“ Do sztuki tej ś. p. Stanisław Moniuszko napisał muzykę.

Nie wątpimy ani na chwilę, że publiczność nasza wszystkich sfer, zapełni teatr po brzegi na benefisowem widowisku, nie pozostawiając artyście żalu po scenie warszawskiej.

— **Zwracamy** uwagę Czytelników na ogłoszenie p. Aleksandra Pytlińskiego przy ulicy Wrocławskiej nr. 1. polecającego we wielkim wyborze po cenach tanich wszelkie wędliny na post tak hurtownie jak też detalicznie.

— **„Kupujmy u swoich.“** Takie hasło wciąż rozbrzmiewa na łamach gazet naszych, ale niestety! jest tylko głosem wołającego na puszczy, gdyż „niepoprawna“ nasza publiczność — zwłaszcza panie — zaopatruje swe potrzeby u innowierców, chociaż u kupców rodaków za tę samą cenę może nabyć towar pierwszorzędny, a nie lichy. Całe łamy „Pracy“ zadrukowane są ogłoszeniami naszych dzielnych kupców i przemysłowców, więc Czytelnicy mają rozmaite polskie źródła zakupna towarów u rodaków. Często nadarza się także sposobność korzystnego zakupna towarów, niezbędnych w każdem gospodarstwie domowem. W dzisiejszym numerze „Pracy“ ogłasza między innemi renomowana drogerya Uniwersum „B. Śniegocki“ przy ulicy Rycerskiej nr. 38, nader korzystne zakupno wybornej herbaty Souchong (piękne wielkie listki, nie prósze) funt cały za tylko 2,40 mrk. tak długo dopóki starczy zapas, oraz wanilii burbundzkiej w pięknych, tłustych strączkach po bardzo tanich cenach. Towar jest tylko wyborny. Nastręcza się więc rzadka sposobność dla naszych oszczędnych gospodyń taniego zakupna herbaty i wanilii.

— **Piękne portrety** kredkowe wykonuje według fotografii bardzo tanio p. Wacław Stefański w Poznaniu przy ulicy Głogowskiej nr. 99. Polecamy względom Czytelników zdolnego i pracowitego młodego rodaka, odsyłając ich po bliższe szczegóły do odnośnego inseratu. Portret zacnego literata-jubilata, p. Józefa Chociszewskiego z Gniezna, wykonany przez p. Stefańskiego, wystawiony jest w handlu artystycznych obrazów pani Neyman (firma Ikon) przy ul. Rycerskiej nr. 1.

— **Baczność!** Interesentom zwracamy uwagę na dzisiejsze ogłoszenie „Wiatrak“, i prosimy powołać się przy zgłaszaniu na „Pracę.“

— **Biedna wdowa**, chora, wolała się narazić na prawdziwą nędzę, zastawiając w lombardzie pościel i rzeczy, aniżeli posyłać dzieci na religią w języku obcym. Może się znajdą serca szlachetne i litościwe i nadeślą wsparcie dla tej biednej kobiety.

Na cel powyższy złożyła pani S. D. z Poznania 1 mrk. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Ślub**. Dnia 28-go z. m. pobłogosławiony został w Wolsztynie związek małżeński pomiędzy panną Karolą Borzysławską, córką ś. p. Hieronima Borzysławskiego i żony jego Konstancyi z domu Kinowskiej, a p. Wacławem Rydzewskim, kupcem z Jarocina, synem pana Stefana Rydzewskiego i żony jego Maryi z domu Pietrzyńskiej. Aktu ślubnego dopełnił wuj panny młodej, ksiądz dziekan Kinowski z Oporowa, w asystencyi księdza proboszcza Gładysza z Wolsztyna.

Przed udzieleniem błogosławieństwa przemówił ksiądz dziekan od ołtarza do nowożeńców w rzewnych i wzruszających słowach. „Młodej parze szczęść Boże!“

— **Ślub.** Dnia 22 go stycznia pobłogosławionym został w kościele w Gnieźnie parafii św. Wawrzyńca, związek małżeński pomiędzy panem Antonim Ziułkowskim a panną Maryą Krantz z Gniezna. Aktu ślubnego dopełnił miejscowy ksiądz proboszcz Stefański w asystencyi księdza wikarego.

Szczęść Boże młodej parze!

— **Firma** „H. Cegielski, Towarzystwo akcyjne w Poznaniu“ wyrabia jako długoletnią specyalność machiny do instalacyi torfowych. Załączamy do dzisiejszego numeru prospekt tejże fabryki, na który zwracamy baczną uwagę Panom interesentom.

## Ruch W Towarzystwach.

— **Kruświca.** Tutejsze Towarzystwo kat. Robotników polskich urządza dnia 9-go b. m. przedstawienie amatorskie na sali p. Zalewskiego. Odegrane będą: „Łobzowianie“ i „Janek z pod Ojcowa.“ Dochód przeznaczony na cel dobroczynny. Początek przedstawienia o godz. 7-mej wieczorem. Wszystkich życzliwych Towarzystwu zaprasza najuprzejmiej

Zarząd.



## Nadesłane.

Do dzisiejszego numeru dołączamy jako dodatek prospekt firmy „Rudolf Petersdorff“ — dom konfekcyjny „Pod wielką fabryką“ w Poznaniu, przy Starym Rynku 100, narożnik ulicy Szerokiej.



We wtorek, dnia 28 stycznia 1902 r. umarł po długich i ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, nasz najukochańszy syn i brat,

ś. p.

**Nikodem Niezgodzki**

przeżywszy lat 35, o czem donosi stroskana

**Rodzina.**

Promno, pod Pobiedziskami.



Póki wesołość panuje w twej duszy, póty okręt twego żywota po pomyślnej płynie drodze, gdyż smutnemu nigdy nic nie idzie zupełnie dobrze, wesołemu zaś nigdy nic zupełnie źle.



Jeżeli głód skręca ci wnętrzności i chcesz pożyczyć, trochę grosza, powiedz, że potrzebujesz na ciastko, ale nie na chleb, albowiem inaczej nikt ci nie pożyczy.



Bądź zarozumiały, z czego chcesz: ze swego bogactwa, urody rozumu, ale — nie daj tego nigdy poznać po sobie.



W rzymskich katakumbach.

Album „Pracy."

Drukiem „Pracy."